Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

W NUMERZE:

M. ŻMIGRODZKA — Prawo do nauki i kultury
J. MILEWSKI — Pożyczki
L. SOBIERAJSKI — Klasowe oblicze wsi w latach okupacji
J. POGAN — Miedze
Przeszłość wsi w rewolucyjnej poezji chłopów
Pokolenie innej konstytucji
T. PAPIER — Bilans rodziny Jakielów
T. MURAS — Ojcowie i synowie
A. SMUGA — Na przykładzie „Załogi"
E. SAS — Rozmowa z ojcem
J. GITLIN — „Kombinacje polityczne"
S. SIEKIERSKI — Dodatki
G. TIMOFIEJEW — Literatura wyrasta z życia
J. GRUŻEWSKI — Jak dobry sprzedawca

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 17. II. 1952 r.

Nr 7 (341

STANISŁAW CIEŚLAK

CZASIE NAPRZÓD!

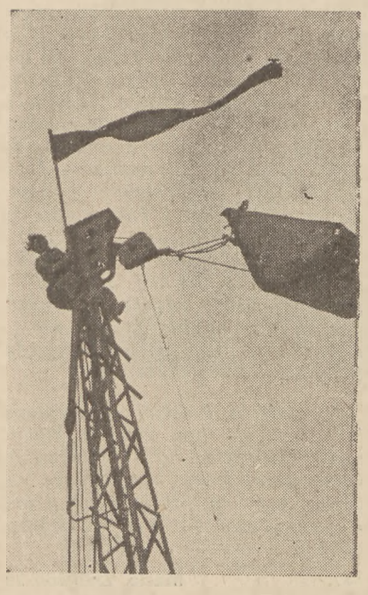

Foto WAF

NAJBARDZIEJ uderzającą cechą projektu planu gospodarczego na rok 1952 jest znaczne, w porównaniu z wytycznymi Planu 6-letniego, przyspieszenie tempa rozwoju przemysłu, głównej dźwigni całego gospodarstwa narodowego.

Świadczy o tym podwyższenie o 19%, a więc o ok. 5 miliardów złotych (do sumy ok. 30 miliardów zł) wydatków na rozbudowę gospodarstwa narodowego, a w tym przede wszystkim przemysłu wielkiego i średniego, oraz przyspieszenie, o 16,8% w porównaniu z zadaniami Planu 6-letniego, wzrostu produkcji przemysłowej.

Wytyczne Planu 6-letniego ustalały bowiem osiągnięcie w roku 1955 poziomu produkcji przemysłowej przeszło 2,5 razy wyższego (ściśle o 168%) od stanu w roku 1949, a czterokrotnie wyższego od stanu w roku 1938, a my zamierzamy już w połowie realizacji Planu 6-letniego, pod koniec trzeciego roku Planu osiągnąć poziom produkcji przemysłowej **dwukrotnie wyższy** od stanu z roku 1949, a przeszło **trzykrotnie wyższy** od stanu z roku 1938.

Na tak znaczne przyspieszenie tempa rozwoju naszego przemysłu wpłynęły zarówno zewnętrzne jak i wewnętrzne warunki naszego rozwoju.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w warunkach rosnącego napięcia sytuacji międzynarodowej, kiedy mamy do czynienia z przejawami agresywności imperialistów anglo-amerykańskich i ich sojuszników neo-hitlerowskich z Niemiec Zachodnich, trzeba było dla umocnienia obronności kraju przyśpieszyć rozwój przemysłu — jak powiedział wicepremier H. Minc:

„Państwo, które by w takim okresie nie dbało o wzmożenie swoich sił obronnych, nie dbało o rozbudowę swojego przemysłu zbrojeniowego, nie dbało o to, żeby móc dostarczyć swej armii odpowiedniej ilości nowoczesnej broni i sprzętu, takie państwo nie zasługiwałoby na szacunek swojego narodu. I Polska Ludowa takim państwem nie jest". Szybsze od wytycznych Planu 6-letniego, tempo rozwoju przemysłu, zwłaszcza ciężkiego (a o nacisku na rozwój tego przemysłu wymownie świadczy powołanie do życia właśnie w tym roku trzech nowych ministerstw: hutnictwa, energetyki, przemysłu maszynowego) dyktuje nam również konieczność usunięcia rażącej, dokuczliwej dysproporcji w rozwoju rolnictwa w porównaniu z rozwojem socjalistycznego przemysłu.

Jeśli bowiem zatrudnienie w zawodach pozarolniczych już wzrosło **dwukrotnie** w porównaniu ze stanem przedwojennym (mimo, że posiadamy znacznie mniej niż przed wojną ludności) jeśli socjalistyczny przemysł podniesie do końca roku przeszło **trzykrotnie** w porównaniu sprzed wojną swą globalną produkcję, to nawet ten stosunkowo wysoki i niemożliwy do uzyskania w warunkach kapitalizmu wzrost produkcji rolnej o 8,1% (w tym roślinnej o 10,2%, a zwierzęcej o 5,2%) jaki przewiduje plan na rok 1952, da nam w rezultacie osiągnięcie mniej więcej zaledwie przedwojennego poziomu globalnej produkcji rolnej w Polsce.

A przecież „rolnictwo — jak uczy Stalin — jest bazą rozwoju przemysłu — i jako rynek chłonący produkcję przemysłową i jako dostawca surowców i żywności i jako źródło rezerw eksportowych, niezbędnych po to, aby sprowadzać urządzenia dla potrzeb gospodarki narodowej. Czy można rozwijać przemysł, pozostawiając rolnictwo w warunkach zupełnie zacofanej techniki, nie zapewniając przemysłowi bazy rolniczej, nie rekonstruując rolnictwa i nie podciągając go do poziomu przemysłu? Nie, nie można. Stąd zadanie: maksymalnie wyposażyć rolnictwo w narzędzia i środki produkcji, niezbędne dla przyśpieszenia i posunięcia naprzód sprawy jego rekonstrukcji na nowej bazie technicznej. Ale po to, aby osiągnąć urzeczywistnienie tego zadania niezbędne jest szybkie tempo rozwoju naszego przemysłu".

O tym, że przyśpieszenie rozwoju przemysłu w r. 1952 ma na celu także dopomożenie rolnictwu w jego rekonstrukcji technicznej świadczy wymownie wzrost zaopatrzenia w nawozy sztuczne o blisko 10%, w traktory o prawie 28%, zwiększenie liczby Państwowych Ośrodków Maszynowych o 75 do liczby około 355 POM (a więc już więcej niż 1 POM na powiat), a liczby traktorów w nich o 58% (a więc prawie o 5,5 tysięcy traktorów) dzięki czemu podwoi się niemal w porównaniu z rokiem zeszłym procent prac rolnych, wykonanych przy pomocy mechanicznej siły pociągowej: w przeliczeniu na orkę średnią równy będzie orce na 4 milionach ha; dalej przyśpieszenie budowy: oddanie do produkcji szeregu nowych elektrowni, Fabryki Maszyn Żniwnych w Poznaniu, Starołęce, największej w Polsce cegielni w Zielonce pod Warszawą, cementowni w Werzbicy itp. zakładów, dzięki którym tak znacznie wzrośnie zaopatrzenie wsi w środki produkcji.

Jeśli jednak warunki zewnętrzne i potrzeby wewnętrzne dyktują nam przyśpieszenie tempa rozwoju przede wszystkim przemysłu i w oparciu o przemysł całego gospodarstwa narodowego, to z drugiej strony umacnianie się gospodarki socjalistycznej w naszym kraju (już w roku 1951 udział gospodarki socjalistycznej w tworzeniu dochodu narodowego osiągnął 72%!) daje do tego pełne możliwości.

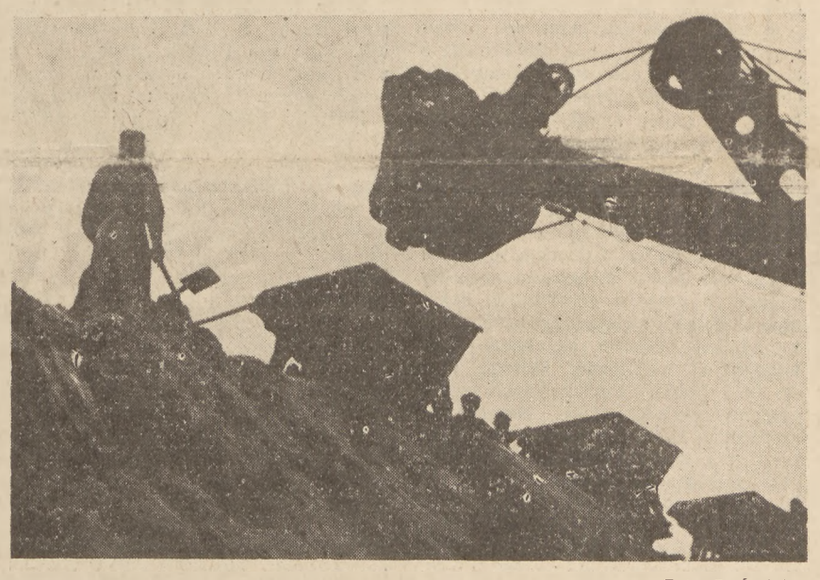

Foto C. Świrta

Jakie to ogromne, bezużytecznie marnowane w ustroju kapitalistycznym, rezerwy można uruchomić w celu przyśpieszenia rozwoju życia gospodarczego kraju w ramach socjalistycznej gospodarki, w oparciu o rosnącą aktywność polityczną i gospodarczą mas pracujących — świadczy wymownie nie tylko rozwój naszego socjalistycznego przemysłu, ale także i wyniki naszej uspołecznionej gospodarki rolnej.

Oto np. w roku 1951, w czasie, gdy nasze drobnotowarowe i częściowo kapitalistyczne rolnictwo nie potrafiło poradzić sobie ze skutkami długotrwałej posuchy i cofnęło się w swym rozwoju do poziomu osiągniętego już dwa lata temu, nasze uspołecznione rolnictwo (PGR i spółdzielnie produkcyjne) nie tylko nie ugięło się pod naciskiem niesprzyjających warunków atmosferycznych, ale potrafiło uzyskać nie tylko przyrost produkcji rolnej o 51% (w tym PGR o 26%), ale również, jak np. w PGR, zwiększyć swą towarową produkcję: ziemniaków o 54%, żywca wieprzowego o 23%, mleka o 42%, czterech zbóż o 28% itp.

W spółdzielni produkcyjnej
Foto—CAF

Podobne wyniki uzyskały i spółdzielnie produkcyjne. Podczas gdy w drobnotowarowych i częściowo kapitalistycznych gospodarstwach rolnych globalna produkcja czterech zbóż chlebowych utrzymała się zaledwie na poziomie roku 1950, to w spółdzielniach produkcyjnych plony pszenicy wzrosły o 1,5 q z ha, jęczmienia o 2 q, żyta o 1,2 q, owsa o 1 q.

Podczas gdy w reszcie gospodarstw chłopskich pogłowie bydła rogatego utrzymało się zaledwie na poziomie 1950, a pogłowie trzody chlewnej spadło od 10 do 30%, to w spółdzielniach produkcyjnych pogłowie bydła rogatego wzrosło o 6%, pogłowie trzody chlewnej o 63%, a udój mleka prawie czterokrotnie w porównaniu z rokiem 1950.

Dalszy planowy rozwój spółdzielczości produkcyjnej, na który taki nacisk kładą wytyczne dla organizacji partyjnych na wsi, ogłoszone przez KC PZPR jednocześnie z ogłoszeniem projektu planu gospodarczego na rok 1952 — świadczą wymownie o tym, że przyśpieszenie naszego marszu ku socjalizmowi nie ograniczy się w roku 1952 tylko do przemysłu, ale obejmie również i dziedzinę rolnictwa.

Umacnianie istniejących spółdzielni produkcyjnych, rozszerzanie zasięgu ich promieniowania — jest decydującym warunkiem dalszej rozbudowy ruchu spółdzielczości produkcyjnej. Jest to jednak zależność wzajemna. Zakładanie bowiem nowych spółdzielni z kolei umacnia pozycję spółdzielni już istniejących. Dlatego plan na rok 1952 domagając się zwiększenia do 16% udziału gospodarki socjalistycznej w globalnej produkcji rolnej zwraca tym samym uwagę mało i średniorolnych chłopów oraz całego aktywu terenowego na pilną potrzebę kontynuowania ruchu założycielskiego spółdzielni produkcyjnych w szerszych jeszcze rozmiarach niż to miało miejsce w latach poprzednich.

Do nowej ofensywy na odcinku przebudowy ustroju rolnego istnieją już wszystkie niezbędne do tego warunki. Nieporównywalnie do lat 1948 i 1949, a więc okresu powstawania pierwszych spółdzielni produkcyjnych, okrzepła bowiem pomoc produkcyjna państwa ludowego dla rolnictwa, sieć POM-ów z 30 i 230 traktorami w roku 1949 wzrosła już do ponad 260 z 9.400 traktorami i dalej rośnie w szybkim tempie. W toku wielkiej jesiennej akcji, w postaci planowego skupu, kontraktacji, organizacji pomocy sąsiedzkiej, oraz sprawniejszego zaopatrywania wsi przez GS i PZ. itp. wzmocniły się ogromnie mosty wiodące do zespołowej gospodarki.

W toku staczanych w r. 1950 i 1951 wielkich bitew klasowych na wsi o dalszy rozwój ZSCh, o pogłębienie pracy GS, o usprawnienie i rozszerzenie kontraktacji i planowego skupu wyrósł u boku klasy robotniczej i jej partii nowy, świadomy aktyw chłopski, liczący już nie dziesiątki, ale setki tysięcy kobiet, mężczyzn i młodzieży.

I dlatego te trudne i napięte zadania, jakie w postaci znacznego przyśpieszenia zadań Planu 6-letniego stanowi przed narodem polskim plan na rok 1952, nie tylko na odcinku przemysłu, ale również i rolnictwie, gdzie jeszcze w roku zeszłym borykaliśmy się z takimi trudnościami, z pewnością mogą być i powinny być wykonane.

Stanisław Cieślak

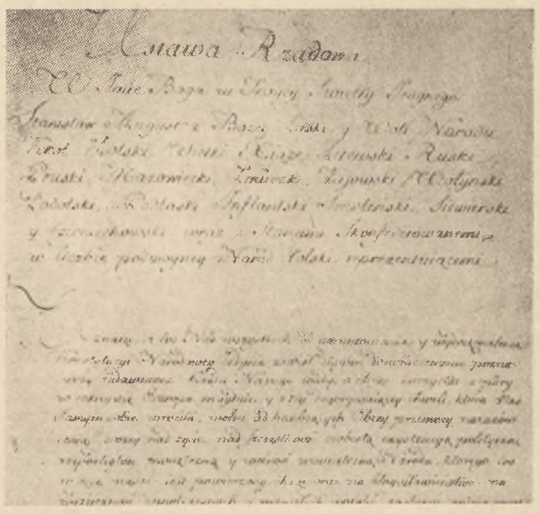

Porządek Ustawy Rządowej Konstytucji 3 Maja

Manifest Powstańczy Rządu Narodowego 22 lutego 1846 r.

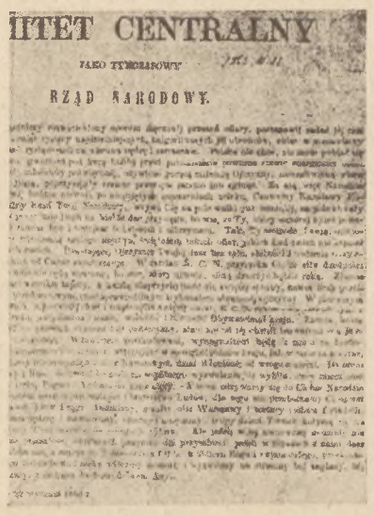

Manifest Powstańczy z 22 stycznia 1863 r.

Manifest Komitetu Centralnego Polskiej Partii Robotniczej

MARIA JANION

Realizujemy testament pokoleń

KIEDY w niedzielne rano przy ulicznych kioskach rozchwytywaliśmy gazety z projektem Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, portrety najwybitniejszych działaczy i bojowników politycznych przeszłości, zamieszczone w licznych czasopismach, już na pierwszy rzut oka uświadamiały nam wielką genealogię tego doniosłego aktu historycznego. W nazwiskach Hugona Kołłątaja, Tadeusza Kościuszki, Adama Mickiewicza, Edwarda Dembowskiego, Jarosława Dąbrowskiego, Ludwika Waryńskiego, Feliksa Dzierżyńskiego, Mariana Buczka, Marcelego Nowotki — zawiera się najszczytniejszy rodowód polskiej demokracji; ich imiona symbolizują wiekowe zmagania się ludu polskiego o wyzwolenie społeczne i narodowe. Ich walka i twórcza działalność, ich marzenia, projekty, programy, znajdują dziś najpełniejsze urzeczywistnienie w Wielkiej Karcie powszechnych praw republiki ludu pracującego. Z przejmujących swą prostotą sformułowań Konstytucji przemawiają do nas dzisiaj marzenia i pragnienia tysięcy bojowników i działaczy, milionów Polaków, którzy oddali swe życie w ofiarnej walce o wolność, w walce o prawa, jakie dziś gwarantuje wszystkim obywatelom nasza Konstytucja.

Ale nie zapominajmy, że po imiona Słowackiego i Kamieńskiego, Kołłątaja i Kościuszki, Mickiewicza i Worcella wyciągała dawniej i dziś także jeszcze wyciąga ręce reakcja polska, która podstępem i kłamstwem, fałszem i zmyśleniem, pragnie dowieść, że dziedzictwo tych działaczy i twórców jest jej własnością, która usiłuje najpiękniejszymi polskimi nazwiskami przesłonić swoje dążenie do przywrócenia obszarnikom i kapitalistom praw do przemocy i wyzysku. Kosmopolici, płatni agenci amerykańskich imperialistów nie zdołają oszukać narodu polskiego. Od wielu lat prowadzimy już walkę z zakusami reakcji; w ogólnonarodowej dyskusji nad projektem Konstytucji powinniśmy ją wzmóc i wznieść na wyższy poziom, wytrącić w ostateczny sposób tę broń z rąk reakcji. Powinniśmy — w myśl wskazań Prezydenta Bieruta — ukazywać Konstytucję jako „bilans wiekowej historii walk klasowych i wyzwoleńczych polskich mas ludowych, którym na przestrzeni ostatnich 70 lat przodowała polska klasa robotnicza, walk długich i ciężkich, ale uwieńczonych zwycięstwem"; powinniśmy „uświadomić tę drogę, tę walkę i to zwycięstwo masom pracującym i całemu narodowi"; powinniśmy obszernie i zasadniczo udokumentować i wyjaśnić, że „Polska Rzeczpospolita Ludowa nawiązuje do najszczytniejszych postępowych tradycji Narodu Polskiego".

Polski lud pracujący jest jedynym i wyłącznym dziedzicem wszystkiego co najcenniejsze, najbardziej twórcze i postępowe w naszej przeszłości i kulturze narodowej. Polska klasa robotnicza swoim codziennym wysiłkiem kontynuuje i urzeczywistnia w najpełniejszy sposób dzieło rozpoczęte przed wiekami przez walczące masy ludowe, przez najlepszych przedstawicieli i myślicieli narodu polskiego. W projekcie Konstytucji otrzymały zatwierdzenie i zabezpieczenie wszystkie podstawowe dążenia i pragnienia naszej wielkiej przeszłości narodowej: ideały pokoleń bojowników — rewolucjonistów i patriotów. Wśród dążeń zrealizowanych przez projekt Konstytucji na pierwszym miejscu znajdują się nurtujące przez wieki marzenia milionów o władzy dla ludu, o zdobyciu pełnej suwerenności i niepodległości narodowej, o zniesieniu wyzysku człowieka przez człowieka, o równości wszystkich obywateli wobec prawa, o braterstwie wszystkich narodów, o utrwaleniu pokoju, o zabezpieczeniu prawa do pracy, nauki, kultury.

Projekt naszej Konstytucji uogólnia i harmonizuje wszystkie te dążenia, oczyszczone już z nalotu historycznych ograniczeń, uwolnione od balastu utopizmu. U podstaw tego projektu legły najwyższe osiągnięcia polskiej myśli politycznej, dokumenty historycznej wielkości naszego narodu, poczynając od protestujących przeciw uciskowi Rzeczypospolitej szlacheckiej prac Andrzeja Frycza Modrzewskiego, pism Staszica, Kołłątaja i Jezierskiego; tekstu Konstytucji 3-go Maja i Uniwersału Połanieckiego Kościuszki. Wiek XIX, w którym ukonstytuował się obóz demokracji polskiej, przyniósł pisma Lelewela i Manifest Ludu Polskiego; „Złotą Książeczkę" Ściegiennego i artykuły Dembowskiego: Manifest Towarzystwa Demokratycznego Polskiego i wypowiedzi Heltmana; „Katechizm Demokratyczny" Kamieńskiego i wiersz „Do autora „Trzech Psalmów" Słowackiego, publicystykę Mickiewicza w „Trybunie Ludów" i jego „Symbol polityczny Polski", wreszcie publikacje „czerwonych" w powstaniu styczniowym. Z chwilą, gdy sztandar demokracji podjął rewolucyjny proletariat, dziedzictwo wielkiej przeszłości wzbogaciło się o program „Wielkiego Proletariatu", manifesty i teoretyczne sformułowania SDKPiL i KPP; pisma Dzierżyńskiego i Marchlewskiego; deklarację programową PPR. Okupiła naszą Konstytucję krew i walka pokoleń, które ginęły za wolność w buntach chłopskich za Rzeczypospolitej szlacheckiej, w powstaniu kościuszkowskim i listopadowym, w powstaniu krakowskim 1846 i wielkopolskim 1848, w powstaniu styczniowym, w Komunie Paryskiej „za naszą i waszą wolność", w katorgach zaborców pruskich, austriackich i rosyjskich, na stokach Cytadeli, w rewolucji 1905 i 1917 roku, strajkach robotniczych i manifestacjach antyfaszystowskich za Polski sanacyjnej, w nieugiętych bojach z hitlerowskim okupantem, w walce o utrwalenie władzy ludowej w naszej ojczyźnie.

Zrealizowany został ideał władzy dla ludu i praw dla ludu, który głosili Lelewel i Dembowski; ideał pełnej niepodległości i suwerenności narodowej, o który walczyli przez 150 lat najlepsi synowie naszego narodu — od kosynierów Kościuszki po bohaterów Armii Ludowej. Konstytucja poręcza sprawiedliwość społeczną, której pragnienie podnosiło do walki rzesze pańszczyźnianego chłopstwa i wiodło na barykady proletariat Łodzi i Warszawy. Utrwalona została w Wielkiej Karcie zwycięstw narodu polskiego jego wola, by nigdy nie być gnębionym — ale i nie być gnębicielem, by miłość do własnej ojczyzny ożywiała jego przyjaźń dla wszystkich narodów walczących o wolność świata. Naród polski przyswoił sobie w pełni słowa Dembowskiego: „Kto miłuje lud polski, miłuje i lud niemiecki i lud francuski, miłuje każdy lud, miłuje ludzkość". Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej traktuje pracę jako najszczytniejszy obowiązek człowieka i jako jedyną podstawę praw obywatelskich tak, jak tego pragnęli bojownicy proletariatu. Wolność sumienia i wyznania obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, o którą walczył już w zamęcie waśni religijnych okresu reformacji Frycz Modrzewski, a która jeszcze w Polsce sanacyjnej była fikcją, zwłaszcza w stosunku do młodzieży, zrealizowana została w pełni dopiero w naszej Konstytucji. Tutaj urzeczywistnione zostało prawo do nauki, którego nadaremnie domagali się dla dzieci ludu Prus i Żeromski. Nasza Konstytucja poręcza równe prawa kobiecie, o które walczyły demokratyczne działaczki i pisarki przeszłości — Żmichowska, Konopnicka, Orzeszkowa. Lektura każdego artykułu Konstytucji wywołuje przed nami długi szereg bojowników, działaczy i twórców. Wszyscy oni potwierdzają swoją myślą i swoim życiem słuszność drogi, jaką obrał nasz naród. Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają pełne prawo do dumnego stwierdzenia: realizujemy testament pokoleń.

Maria Janion

MARIA ŻMIGRODZKA

PRAWO DO NAUKI i KULTURY

W WIELKĄ kartą zwycięskich i utrwalonych na zawsze zdobyczy polskiego ludu pracującego" nazwał Prezydent Bierut projekt nowej Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Podsumowuje ona aktualny etap dokonanej u nas rewolucji; z głębokich przeobrażeń społeczno-ekonomicznych, politycznych i kulturalnych wyciąga ustawowe wnioski, które zatwierdzają zasadnicze elementy istniejącego w Polsce stanu rzeczy, a jednocześnie stanowią potężny czynnik pchający rozwój naszego życia w kierunku budowy socjalizmu.

Budując socjalizm zmierzamy do wyzwolenia człowieka spod jarzma ucisku i wyzysku panującego w społeczeństwie kapitalistycznym, ale pragniemy go także wyzwolić z ciemnoty i przesądów, z niewiedzy, która czyni go powolnym narzędziem w rękach wyzyskiwaczy; chcemy zasypać przestrzeń między ludźmi posiadającymi dostęp do dóbr kulturalnych a masami wychowywanymi — w ustroju burżuazyjnym — przez szynk oraz brukową literaturę i sensacyjny film.

Sens głębokich przemian, jakie dokonały się w naszym życiu, polega między innymi także i na tym, że zrywamy więzy krępujące jednostkę ludzką w społeczeństwie klasowym, że przekreślamy to wszystko, co hamuje swobodny rozwój sił i możliwości człowieka, że dążymy do tego, by każdy obywatel znalazł się w sytuacji, pozwalającej na pełne i nieskrępowane rozwinięcie jego zdolności i zamiłowań twórczych. Nowa Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zabezpiecza realizację tych dążeń w rozdziale o „Podstawowych prawach i obowiązkach obywateli". Po doniosłych i rewolucyjnych w dziejach prawodawstw świata postanowieniach o prawie do pracy, do odpoczynku, jakie z natury swej wprowadzają konstytucje typu socjalistycznego, uważając te elementy słusznie za fundament praw człowieka, znajdujemy w tekście projektu nowej Konstytucji paragrafy, które mówią o pomocy, jaką Polska Rzeczpospolita Ludowa niesie człowiekowi pracy, wyzwalającemu się z wiekowej niewoli — także i w zakresie jego potrzeb kulturalnych.

Z faktu, że Konstytucja typu socjalistycznego nie jest ani programem na wyrost, ani zbiorem pobożnych życzeń, że stanowi podsumowanie już zrealizowanych osiągnięć naszej rewolucji, że mówi o tym „co już jest, co już zostało osiągnięte i zdobyte obecnie, w teraźniejszości" (Stalin „O projekcie konstytucji ZSRR") wynika nie tylko szerokość i bogactwo zabezpieczonych przez Konstytucję form rozwoju kulturalnego jednostki i narodu, ale ich pełna realność. Konstytucja typu socjalistycznego „nie ogranicza się do stwierdzenia formalnych praw obywateli, lecz przenosi punkt ciężkości na sprawę zagwarantowania tych praw, na sprawę środków realizacji tych praw" (Stalin). To znaczy, że sześć lat polskiej rewolucji kulturalnej wytworzyło już z jednej strony tak wysokie napięcie potrzeb kulturalnych szerokich mas ludności, z drugiej zaś — taką sieć instytucji kulturalnych, że realizowanie tych praw nie jest pustym dźwiękiem, lecz konkretną rzeczywistością, a jednocześnie stale wzrastającą tendencją rozwojową naszego życia.

Prawo do nauki i prawo do korzystania ze zdobyczy kultury i do twórczego udziału w jej rozwoju, dbałość Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej o wszechstronny rozwój nauki, o rozwój literatury i sztuki, opieka nad inteligencją twórczą i nad wychowaniem młodzieży, mają jako gwarantów nasze dotychczasowe osiągnięcia. Prawo do nauki obywatelowi polskiemu poręcza nie tylko rosnąca ilość szkół wszelkiego typu, wzrost kadr nauczycielskich, system burs i stypendiów, szeroką sieć kursów i instytucji podnoszących umiejętności zawodowe; poręcza je przede wszystkim realna, życiowa możliwość zużytkowania zdobytych kwalifikacji w obranym zawodzie, potężna chłonność naszego rynku pracy, która zdejmuje z wykwalifikowanego pracownika klątwę zbędności, przekreśla zmorę „nadprodukcji inteligencji" i stwarza możliwości sprawiedliwego awansu, wyrównując w ten sposób krzywdy minionego ustroju.

Ale z drugiej strony prawo do nauki poręcza też i jakość wiedzy, którą pozwala nam osiągnąć współczesność — to, że głębokie przemiany w życiu nauki polskiej pchnęły ją na jedynie słuszną drogę materializmu dialektycznego i historycznego, to, że wiedza, jaka powstaje w naszych instytutach i laboratoriach, już dziś służy — a z każdym rokiem coraz owocniej — służyć będzie sprawie ludu, że jest już—i będzie coraz bardziej w przyszłości — jego mózgiem i jego bronią. „Minister patrzy na robotników jak na proch, a na wiedzę i wykształcenie jak na iskrę, minister przekonany jest, że jeśli iskra padnie na proch, to wybuch zagrozi przede wszystkim rządcowi" — pisał Lenin. Tak było przez wieki — wiedza była monopolem klas posiadających. Działanie tego prawa możemy prześledzić w ciągu całej naszej historii: — od koncepcji pańszczyźnianych szkółek ludowych, gdzie pilnie dbano, by podnosząc pewne kwalifikacje ludzkich „zwierząt roboczych" nie rozzuchwalić ich jednak nadmiarem „zbytecznych" wiadomości — przez znane słowa carskiego ministra „oświaty" stwierdzającego, że „gimnazja nie dla synów kucharek" — aż do wyrazów uznania, jakimi endeckie pisma w dwudziestoleciu przywitały cofnięcie subwencji Wolnej Wszechnicy Łódzkiej, by przeciwdziałać „przewracaniu w głowach" dzieciom robotniczym. Książka w ręku robotnika i chłopa była sygnałem do wzmożonej czujności dla wroga klasowego — niejednokrotnie początkiem prześladowania — mówią o tym życiorysy Olbrzymka, Lucjana Rudnickiego, Józefa Pogana — ale mimo to, była istotnie „iskrą" padającą na prochy, uczyła — i porywała do walki, otwierała oczy — i wkładała broń w rękę. Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej podsumowuje drogę, jaką przeszedł lud polski od „uniwersytetów proletariatu" — jak nazywano cele więzień carskich i sanacyjnych, na wyższe uczelnie państwowe, do teatrów, świetlic i sal koncertowych. Symbolem tej drogi może być historia pisarstwa Lucjana Rudnickiego — u początku jej stoi nieporadna jeszcze ulotka strajkowa — dziś — książka wyróżniona Państwową Nagrodą i godność prezesa Związku Literatów.

Jeżeli Polska Rzeczpospolita Ludowa poręcza swym obywatelom „prawo do korzystania ze zdobyczy kultury i do twórczego udziału w rozwoju kultury narodowej", to jest to prawo realne nie tylko dlatego, iż celowa, planowa akcja państwa zmierza do podniesienia poziomu kulturalnego mas ludowych, do udostępnienia wszelkich środków poznania i tworzenia dóbr kulturalnych. Rozbudowa świetlic, dbałość o ich wyposażenie, festiwale sztuki ludowej, wystawy i konkursy, ukazujące prace masowego twórcy z jednej strony — a rosnące nakłady książek, rozwój bibliotek, rozbudowa sieci teatrów i kin z drugiej — to potężne dźwignie rozwoju kulturalnego naszego narodu. Ale nie zapominajmy, że potężnym bodźcem jest zmieniająca się treść naszej kultury, która z każdym rokiem staje się coraz bardziej kulturą ludową, socjalistyczną. Nie staliśmy się jeszcze narodem socjalistycznym i w kulturze naszej nurt ludowy nie zapanował jeszcze niepodzielnie. Jednak istotne przemiany, które się w niej dokonały zasypują powoli, ale nieuchronnie przepaść między kulturą „uczoną", oficjalną, a wypieranym i każonym przez drobnomieszczańską tandetę folklorem, rozbijają artystyczne kapliczki i porywają twórców w nurt wielkich spraw, bliskich człowiekowi pracy, rewolucjonizują i humanizują naszą sztukę, czynią z niej wielką sprawę całego narodu. Współczesna sztuka, film, książka mają ambicję budowania naszego życia, podejmowania najbardziej palących jego spraw, przyniesienia konkretnej pomocy człowiekowi pracy w jego konfliktach życiowych — stąd słowa o „udostępnianiu" i „korzystaniu" nie brzmią jak puste frazes. Dzieło sztuki — zwłaszcza dzieło literackie weszło już aktywnie w życie przodujących kolektywów, przekształcających rzeczywistość — radzi członkom spółdzielni produkcyjnych i brygadom robotniczym, walczącym o zmianę stylu pracy w zakładach przemysłowych. Masowy czytelnik może dziś mówić o sztuce — i mówi o niej, niejednokrotnie czynnie oddziaływując na drogę jej rozwoju. Czymże byłyby słowa o „prawie do korzystania ze zdobyczy kultury" w społeczeństwie, w którym „Sanatorium pod klepsydrą", czy dzieła sztuki plastycznej zatytułowane „Płonące żyrafy" mają pretendować do miana „sztuki narodowej"?

„Polska Rzeczpospolita Ludowa troszczy się o wszechstronny rozwój nauki", mówi art. 63, a art. 64 utwierdza opiekę Państwa nad rozwojem literatury i sztuki. I tu trzeba dostrzec głęboki sens tej opieki — troska Państwa, to nie tylko laboratoria i instytuty badawcze, biblioteki i stypendia, dbałość o zabezpieczenie potrzeb życiowych naukowca i artysty — to także szeroko otwarte perspektywy twórczej i produktywnej społecznie pracy, to gwarancja możliwości wyboru postępowej, materialistycznej metody badawczej, to możność korzystania z doświadczeń przodującej nauki i sztuki radzieckiej. Opieka ta jest realna — bo daje uczonemu i artyście gwarancję poparcia i możność kontynuacji każdej cennej inicjatywy twórczej, bo wyznacza mu realne i doniosłe miejsce w dziele wielkiej budowy, bo zawiązuje więź współpracy między nim a narodem, jakiej nie da mu nigdy społeczeństwo krzywdy i wyzysku.

Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest wielkim manifestem marksistowsko - leninowskiego humanizmu, który wyzwalając człowieka daje mu jednocześnie najpiękniejsze prawo — prawo tworzenia kultury.

Maria Żmigrodzka

LEONARD SOBIERAJSKI

KLASOWE OBLICZE WSI W LATACH OKUPACJI

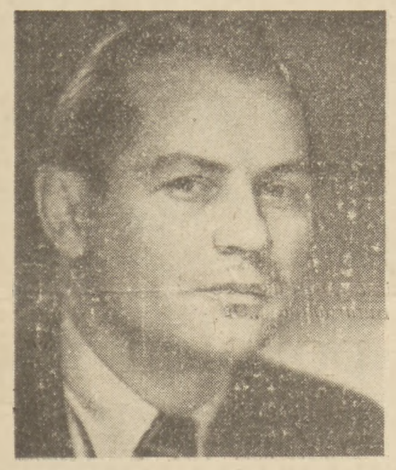

Edward Marzec

DEBIUT powieściowy*) Edwarda Marca należy rozpatrywać łącznie z kilku wcześniej opublikowanymi książkami, w których wieś z lat okupacji znalazła swój artystyczny obraz. Będziemy mogli wówczas prześledzić, jak pod piórem młodych pisarzy dojrzewał sam temat, jak zaostrzało się ich spojrzenie na minioną rzeczywistość, pozwalając w niej dostrzec te momenty, w których odsłaniała się klasowa prawda o „nocy okupacyjnej". Ten proces pisarskiego dojrzewania, właśnie dlatego szczególnie interesujący, że dokonywał się poprzez debiuty powieściowe, spróbujmy odczytać z takich pozycji, jak: „Broń" Witolda Zalewskiego, „Chłopcy z lasu" Władysława Machejka i „Ludowy potok" Józefa Ozgi-Michalskiego. Z grubsza choćby dokonana analiza na tym materiale pozwoli nam w sposób właściwy spojrzeć na powieść Marca, ustalić, na ile jest ona krokiem naprzód w stosunku do swoich poprzedniczek.

Wartość ideowo - artystyczną prozy o latach okupacji należy mierzyć tym, w jakim stopniu daje ona poznawczo bogaty i artystycznie przekonywujący obraz walki, toczonej wówczas przez masy ludowe, walki prowadzonej na dwóch frontach: przeciwko okupantowi hitlerowskiemu i przeciwko własnej burżuazji, która starała się zdławić narodowo - wyzwoleńczy zryw klasy robotniczej i radykalnego chłopstwa. Wartość tej prozy mierzymy tym, na ile umie ona ukazać zaostrzające się konflikty klasowe wówczas, gdy burżuazja w lęku przed rewolucją za patriotyczną postawę ludu odpowiedziała zdradą narodową.

W najwcześniejszej „Broni" Zalewskiego widzimy dopiero zalążki klasowego widzenia okupacyjnej wsi. Mamy tu na razie z grubsza przeprowadzone linie podziału. W polu autorskiej obserwacji znalazł się dwór obszarniczy oraz wieś, bez wyraźniejszego jednak wewnętrznego zróżnicowania. Sam dwór nie został tu jeszcze ukazany w jego politycznej funkcji. Przypatrzmy się, jak Zalewski konstruuje fabułę swojej powieści? Autor w krótkich, zwartych scenach kreśli sytuację jednej z wsi na terenie Lubelszczyzny. Ukazane zdarzenia rozgrywają się latem czterdziestego trzeciego roku. W ciągu kilkunastu zaledwie dni. W Rudawce działają BCH. Na terenie wsi działa również młody inteligent, przebywający w charakterze nauczyciela i ubogiego krewnego w rudawskim dworze. Zbuntowany przeciwko własnej klasie, ciążący sympatiami do chłopów, skupuje po wsi broń, by stworzyć w przyszłości własny oddział partyzancki. To z jego inspiracji jeden z zaufanych chłopów wykrada zmagazynowaną przez „bechowców" broń, pozbawiając jej tych, którzy w najbliższych dniach mieli podjąć z okupantem walkę. Zdekonspirowany ucieka z zagrożonej wsi, pozostawiając ją bezbronną wobec terroru okupanta. Zalewski w swojej powieści pokazał nam w sposób przekonywujący jeden z momentów życia okupacyjnej wsi, jak poderwała się ona do walki, zatarł natomiast podstawowy konflikt, który obiektywnie zarysował się w toku przedstawionych zdarzeń. Nie uwyraźnił mianowicie antagonistycznych sił w rozgrywce o broń, o wpływy polityczne na terenie wsi. W książce Zalewskiego dwór obszarniczy z nienawiścią odnosi się do chłopstwa, jest jasne, że wieś budzi w nim lęk, że wolałby ją widzieć bezbronną. Autor nie wciąga jednak bezpośrednio w akcję jego przedstawicieli, Rudawkę i okolicę ogałaca z broni inteligencki bohater - Leszek, który wprawdzie związany jest organizacyjnie z jakąś prawicową grupką, ale sam z odrazą odnosi się do burżuazji, nie myśląc wcale o obronie jej interesów. Stąd wysunięcie tak określonej postaci na plan pierwszy i jej rola w przebiegu powieściowych wydarzeń zaciera istotną klasową motywację faktów, podstawiając na jej miejsce motywację psychologiczną. Autor nakreślił z niewątpliwą siłą jedną z typowych dla okupacyjnej wsi sytuacji, nie rozegrał jej jednak dla pełnego zdemaskowania istotnego wroga klasowego, jakim dla podstawowych mas chłopskich było obszarnictwo.

Władysław Machejek w swoich „Chłopcach z lasu" postawił sobie daleko szersze założenie. Powieść jego miała odbijać „wszystkie lata okupacji". Żarliwa, pełna pasji politycznej książka Machejka wyrosła z bezpośrednich doświadczeń autora, które pisarz — sam przed wrześniem członek KZMP a w czasie okupacji jeden z organizatorów Gwardii Ludowej na terenie powiatu miechowskiego — starał się na gorąco przetransponować w kształt powieściowy. W powieści Machejka dadzą się wychwycić dwie dyrektywy, według których autor porządkuje materiał własnych obserwacji. Pierwsza z nich wynika z potrzeby ukazania roli działaczy komunistycznych w organizowaniu podziemnej walki z okupantem, z potrzeby ukazania ich niezłomnej postawy, hartu i patriotyzmu. Drugim wyznacznikiem kompozycyjnym jest próba wiernego odtworzenia dziejów partyzantki AL-owskiej w Miechowskiem. Autor urzeczony obrazem partyzanckich zmagań, kierując się chęcią przytoczenia jak najpełniejszego materiału, by nic z walki konspiracyjnej nie uronić, wieś potraktował raczej jako tło, nie podejmując pełniejszej klasowej analizy środowiska chłopskiego. Machejek wprawdzie odsłania ideologiczne zrosty kulackiej części wsi z obozem burżuazji, za mało jednak poświęca jeszcze uwagi ukazaniu biedoty wiejskiej, jako siły szybko dojrzewającej do rewolucji społecznej. Front walki klasowej w ramach okupacyjnej wsi nie został u Machejka jeszcze ostro zarysowany. Autor skupił swoją uwagę na pierwszoplanowym naówczas przeciwniku, obnażając przede wszystkim całą ohydę obozu burżuazji, organizującej pod życzliwym okiem okupanta swoją „konspirację" do walki z narodowo - wyzwoleńczym, rewolucyjnym ruchem robotniczo-chłopskim, kierowanym od czterdziestego drugiego roku przez PPR. Podstawową wartością książki Machejka jest próba pokazania bohaterskiej walki Gwardii Ludowej, jest przede wszystkim próba zobrazowania tej historycznej prawdy, że pierwszy i to krwawy akt naszej rewolucji rozgrywał się w latach okupacji, gdy faszystowskie bandy eneszetowskie atakowały zdradziecko oddziały Armii Ludowej.

Powieść Józefa Ozgi-Michalskiego „Ludowy potok" podejmuje tę problematykę, której brak odczuwamy w książce Machejka. Ozga - Michalski, pokazując wieś kielecką, a ściślej Pińczowskie, zwrócił uwagę na krystalizowanie się postawy politycznej chłopstwa. Akcja powieści wprowadza czytelnika już w wypadki pierwszych miesięcy czterdziestego czwartego roku, a więc po powstaniu Krajowej Rady Narodowej. Rozpoczyna się wówczas na terenie Kielecczyzny ostra walka o Bataliony Chłopskie, których oddziały wbrew reakcyjnemu dowództwu przechodzą do Armii Ludowej, by włączyć się do czynnej i zorganizowanej walki z okupantem, na terenie Kielecczyzny tworzą się wówczas pierwsze rady narodowe. Te momenty wyznaczają kompozycję „Ludowego potoku", trafnie akcentując węzłowe punkty, na których dokonał się pierwszy zwycięski atak radykalnych, lewicowych ludowców na kułackie, reakcyjne kierownictwo. Tak by z grubsza wyglądała topografia elementów ideowo - poznawczych w trzech wysuniętych przez nas powieściach. Szczególnie w wypadku „Chłopców z lasu" i „Ludowego potoku" otrzymujemy uzupełniający się obraz, który bogaci nas o polityczną wiedzę o wsi z lat okupacji. Czy powieść Marca bogaci ten obraz o nowe elementy?

Marzec w swojej powieści „Słońce wschodzi" wraca do lat okupacji, by na przykładzie jednej wsi pokazać zachodzące wówczas w warstwie chłopskiej procesy. Autor, przedstawiając w sposób jak najbardziej bezpośredni okupacyjną codzienność Błogocic, ukształtował obraz, w którym odsłoniły się wewnętrzne sprzeczności w gromadzie wiejskiej. Te sprzeczności, zrodzone przez kapitalistyczną wieś, obnażyły się z całą jaskrawością w czasie minionej wojny. Wychwycić je, zamknąć w literackiej wizji, udokumentować losami bohaterów — oto pierwsze założenie, jakie sobie Marzec postawił.

Ale lata okupacji to przedpole naszej rewolucji, to lata, w których klasa robotnicza, podejmując nieubłaganą walkę z najeźdźcą hitlerowskim, przygotowuje się równocześnie do obalenia kapitalizmu. Powieść Marca wprowadza nas w wypadki rozgrywające się w Błogocicach w czterdziestym drugim roku, by doprowadzić je do pierwszych dni wyzwolenia. Nie przypadkowo akcja książki rozpoczyna się w roku powstania Polskiej Partii Robotniczej, bo od tego momentu i do zapadłych wsi będzie docierała ideologia Partii, rozbudzając w podstawowych masach chłopskich rewolucyjną świadomość. Zacznie wtedy krzepnąć front biedoty wiejskiej przeciwko kułackiemu wyzyskowi. Ukazać ten proces w zindywidualizowanym obrazie — oto druga dyrektywa, jaką się kierował autor książki „Słońce wschodzi".

Marzec pokazując nam w pierwszych rozdziałach powieści rodzinę drobnorolnych chłopów Domagałów, daje syntetyczny skrót społecznej sytuacji, w jakiej znajdowała się biedota wiejska w kapitalistycznej wsi, Ignac Domagała rozpoczynający swoje życie na dwumorgowej gospodarce wierzył w swoje mocne ręce, ufał swojej niezmordowanej pracowitości. Poznajemy go w momencie, gdy ten pięćdziesięcioletni mężczyzna wypruty nadmierną pracą z resztek sił, dokonuje bilansu swego życia. Z jego wspomnień odsłania się typowy los wyrobnika wiejskiego, którego pracę za odrobki, za nędzne wynagrodzenie wykorzystywali bogacze — Kowalscy, Zientary, Kwapnie. Marzec kreśli ten los, by pokazać na Domagale ograniczoną jeszcze świadomość tej części małorolnych chłopów, którzy system kapitalistyczny przyjmowali jako nieodparte zło, nie dopuszczając nawet do siebie myśli o podjęciu z nim walki. Stary Domagała stronił od „polityki", liczył, że na powierzchni utrzyma się „robotnością". Na argumenty syna Pietrka, który zaczyna pojmować mechanizm kapitalistycznego wyzysku odpowie: „czyś ty ślepy, czy ze mnie ślepca robisz? Policzże najprzód tych, co roboty szukają, a potem oszacuj, ile roboty na nich czeka. No? Roboty jest za mało dla potrzebujących!" Z tej sytuacji, określonej jego słowami: „żeby jakoś żyć przecie" — kształtuje się postawa błogockiego biedniaka, jego poddanie się kułackiemu jarzmu. Domagała na progu śmierci w ciężkim wysiłku myślowym dochodzi prawdy: „Zatrzymawszy wspomnienia na Pietrku, przewracał się na miedzy jak człowiek, który pragnie wydobyć z siebie coś nowego, a jego mózg już śpi i nowych myśli nie rodzi. Lecz coś się tam wiąże w głowie. Domagała łączy zdarzenia z sobą, przestawia ich kolejność. Brakuje. „Pietrek nie lubił mówić o sobie za wiele. Ale polityka mu się podobała. Aha! Mnie rewidowali za to, żem miał krasę, a jego gonili za coś, co jeszcze gorzej ścigano niż złodziejstwo" — westchnął stary z ulgą, szczęśliwy, że odkrył rzecz, o której nigdy poważnie nie myślał, choć w niej się mieści cała tajemnica".

Marcowi udało się przy pomocy najprostszych środków ukazać całą beznadziejność losu drobnorolnego chłopa w kapitaliźmie. Przy pomocy techniki jakby filmowych zbliżeń wydobywa ludzką i klasową treść przedstawianej postaci:

„Domagała zaskomlał jak nieporadne szczenię, które zostało bez opieki. Czuje, że gdziekolwiek spojrzy nie zobaczy matki, bo jej nie ma. Podparł się lewą ręką, nogę podkurczył, potem obrócił tułów za ręką. Podnosił się z ziemi i płakał. „Źle ze mną, a Maryna nie wierzy, że źle. Pietrek, o tak, Pietrek to by powiedział: tata, wyrobek cię zżarł. I prawda".

Panujący w gromadzie wiejskiej system kapitalistycznych uzależnień został przez autora z całą siłą podkreślony w obrazie śmierci Domagały. Ten wyrobnik wiejski kończy życie przy młocce u swojego kułackiego „patrona". Jego śmierć pokazana właśnie w tej sytuacji nabiera głębokiej ideologicznej wymowy, zapisuje się w oczach czytelnika jako końcowe podsumowanie rachunku krzywdy i wyzysku, rachunku obciążającego błogockich bogaczy.

Stary Domagała swoim losem zapisał jedną z kart kapitalistycznej wsi. Jego syn Pietrek „popróbuje się z życiem" inaczej. Jeszcze w latach przedwojennych chłopak zetknął się z ludźmi z biedniackiej wsi Dziadówki, gdzie KPP zapuściło swoje korzenie. Od nich otrzymał pierwszą klasową lekcję: wtedy zrozumiał, że to ustrój spycha drobnorolną wieś na dno nędzy, że nie wyrwie się z niej człowiek z jego klasy dopóki z całą klasą wyzyskiwanych nie podejmie walki przeciwko wyzyskującym. Pierwsze kroki rewolucyjnej praktyki Pietrek przeszedł jeszcze w Polsce przedwrześniowej, organizując strajki fornali, mobilizując wieś do oporu przeciwko aparatowi ucisku obszarniczo - kapitalistycznego państwa. Prześladowany przez sanacyjną policję uchodzi z rodzinnej wsi. Po latach wróci do Błogocic, w których okupacja pogłębiła konflikty klasowe, przeprowadzając jeszcze ostrzejszą linię podziału między biedotą wiejską a posiadaczami „porządnych gospodarek".

Marzec przesuwając przed oczami czytelnika sceny i wydarzenia typowe dla wsi okupacyjnej nie zamyka ich w szeregu statycznych obrazów, wyczerpujących się w jednorazowym opisie. Relacjonowane czy przedstawione przez niego fakty, jakich mu dostarczyła obiektywna rzeczywistość, traktuje on zawsze jako rodzaj odczynnika, którym wykrywa klasowe motywy postępowania i myślenia wprowadzanych przez siebie bohaterów. Autor wysuwając reprezentatywne dla poszczególnych grup społecznych postaci, nigdy nie traci z pola widzenia całej gromady. W poszczególnych scenach przesuwają się przed naszymi oczami coraz to inni przedstawiciele kułackiej części Błogocic, odsłaniając w bezpośrednim zetknięciu z biedotą wiejską i średniakami swoje wilcze, klasowe oblicze Dzięki temu zarysował się w książce dynamiczny obraz wsi, w całym splocie jego konfliktów i potęgujących się antagonizmów klasowych. Marzec pokazuje jak bogacze spychają ciężary okupacji na drobno i średniorolnych chłopów, jak wzmagają wobec nich ucisk ekonomiczny, jak wchodzą w „kombinacje", na zasadzie podziału zysków, z całą sforą drobno - urzędniczej kanalii hitlerowskiej. W tej sytuacji zaszyna dojrzewać klasowa świadomość biedniaków. W powieści Marca obserwujemy sam proces narastania tej świadomości. W szeregu konsekwentnie rozwijających się scen autor pokazuje, jakie czynniki ten proces organizują. To ideologia Partii przenika do Błogocic. Wokół jej wyznawców: Pietrka Domagały i Srogi tworzy się zwarty front błogockiej biedoty podejmujący walkę z własną wiejską burżuazją i z okupantem hitlerowskim.

Kułacy z Błogocic, mający w swoim zapleczu „konspirację" akowską, powiązaną z sąsiednimi dworami oraz zaprzyjaźnioną sforą kolaboracjonistów w rodzaju targownika Mizerskiego, kontrolera Kramera czy „zbożowca" Hołubki — napotkają teraz na zdecydowany opór pozostałej części wsi. Do oporu będzie chłopów mobilizowała Partia poprzez swojego rzecznika, Srogę, opór ten będzie się wzmacniał, gdy chłopi odczują, że zorganizowany przez Pietrka oddział Gwardii Ludowej ich interesy bierze w obronę. Jest jeszcze drugi czynnik mobilizujący — to wieści z frontu wschodniego. Świetne są w powieści momenty, gdy chłopi ściągają na wieczorne pogwarki do chałupy Srogi, by zasięgnąć języka o sytuacji wojennej. To Stalingrad wpływał na okrzepnięcie klasowego frontu w podkrakowskiej wsi. Jest zasługą Marca, że bez uciekania się do komentarza, potrafił to pokazać poprzez zmiany, dokonujące się w świadomości przedstawianych postaci.

Problemem podstawowym dla powieści Marca, jak to już wyżej podkreślaliśmy, jest próba ukazania klasowego oblicza wsi z lat okupacji. Tej dyrektywie ideologicznej będzie podporządkowana cała konstrukcja książki. Fabuła powieści dostarcza materiału, który uwypuklając zasadnicze konflikty kapitalistycznej wsi, odsłania ich specyfikę w określonej sytuacji historycznej. Na obraz Błogocic złożą się jakby dwa ciągi faktów. Jednym ciągiem autor zarysuje stosunki społeczno-gospodarcze w gromadzie, w drugim odsłoni narastanie sił, które tym stosunkom wypowiedzą zdecydowaną walkę. Autor często splata fakty, stwarzając w ten sposób niepisany komentarz, który czytelnik sam już sobie buduje. Przypomnijmy tu rozdział, w którym Marzec przedstawia nocną schadzkę chłopów u Srogi. Obserwujemy zażartą dysputę. Są tu ci, którym okupacja daje się okrutnie we znaki, a więc drobnorolny Serwatka, Janota, średniacy Pajda i Puchała, jest także parobek Baranek, jest oczywista i Pietrek Domagała. Omawiając gorąco szanse zakończenia wojny, przyjmują chciwie wiadomości o walkach na froncie wschodnim, z nim przede wszystkim wiążąc nadzieję zwycięstwa. Autor przerzuca nas nagle do domu Kowalskich. Małżonkowie przed snem referują sobie sprawę nowej „kombinacji" ze zbożem, którą stary obgadał z Hołubką: „Zgodziliście się, czy tylko obiecujecie? — Tak. Możemy wozić zboże do spółdzielni, ile będziemy chcieli. On to przyjmie jako kwalifikowane do siewu, zapłaci po osiemdziesiąt złotych za metr i zaliczy na kontyngent".

Nabrał powietrza i wykładał dalej: — Za to mamy prawo kupić w spółdzielni zwykłego ziarna dwa razy tyle, co tego niby siewnego odstawimy. Po dwadzieścia osiem złotych za metr. Rozumiesz, co to za interes? — Rozumiem — zastanowiła się Kowalska. — Ale gdzie podziejesz to ziarno od niego? Michniakowi będziemy sprzedawać? Czy lepiej zemleć i puścić na Kraków mąkę? Po wiele pszenica? — Michniak płaci tysiąc osiemset — odrzekł..."

Powracamy do pierwszej sceny. Sroga opowiada o tym, jak partyzanci radzieccy „wysadzają pociągi, zrywają tory, burzą mosty, podpalają magazyny. Sroga rzuca słuchaczom wyzwanie: „żeby u nas taka partyzantka była!..."

Przytoczyliśmy jeden z przykładów typowych dla techniki kompozycyjnej debiutu Marca. Autor, przerywając scenę dla wstawienia innego wycinka z przedstawianej rzeczywistości, wydobywa właśnie treść klasową reprezentatywnych dla powieści postaci, zdarzeń i sytuacji. Proza Marca jest wolna od „zaokrąglającego" komentarza odautorskiego. Pisarz przez staranną selekcję faktów tworzy przesłanki, pozwalające czytelnikowi na wysnucie poprawnych wniosków ideologicznych. I to jest poważne osiągnięcie debiutu Marca.

Leonard Sobierajski

*) Edward Marzec: „Słońce wschodzi", Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1951 r.

JULIAN MILEWSKI

W roku 1946

POŻYCZKI

(Fragment pamiętnika)

W początkach 1946 r. przybyłem do małego miasteczka K. W kieszeni wiozłem nominację na dyrektora powiatowej KKO. Nominację tę poparła powiatowa PPR, nie bez przyczyny. Przed wojną pracowałem w tej mieścinie w oddziale Banku Rolnego.

Byłem młodym, nic nie znaczącym urzędniczkiem, który pobierał 70 zł.

Rys. A. Mierzejewski

miesięcznie, podczas kiedy mój dyrektor 900 zł. On poza tym bywał stałym gościem w okolicznych dworach u hr. Krasińskiego, u Rembielińskich, Turskich, gdzie chciał, bo wszędzie miał otwarte progi. Krótko mówiąc, żył na pańskiej kuchni trzy kwartały w każdym roku. Ja wypełniałem weksel na 25 tysięcy, a dyrektor wiózł go Rembielińskiemu w przysłanej karecie, wśród falujących łanów pszenicy, jako niespodziankę. Bo oto Oddział Wojewódzki Banku Rolnego przyznał dziedzicowi Rembielińskiemu 25.000 zł pożyczki „pod zastaw zboża", które wg. oceny instruktora rolnego dawało jeszcze na polu całkowitą gwarancję pokrycia. We wrześniu znów wypełniałem Rembielińskiego weksel na 30.000 zł.

Zbiór sprzedał, pożyczki poprzedniej nie zwrócił, a na nową wymyślił inny powód.

Miałem jednak i ja powiązania z latyfundiami i dobrami obszarników, z tą różnicą, że kiedy dyrektor znał pałace i dwory, ja poznałem czworaki folwarczne. Mówiąc ściśle, nawet czworaków dobrze nie poznałem. Wydałaby się wówczas moja robota. Poznałem natomiast wielu robotników dworskich i sezonowych. Kontakt zdobyłem u Potęgi, który był sekretarzem Pow. Zw. Rob. Rolnych.

Potęga wciągnął mnie do udzielania porad prawnych na rzecz robotników rolnych. „Mogłem się przydać, bo kilka lat pracowałem w adwokackich kancelariach. Szło o zaufanego człowieka. Inaczej nawet adwokat opłacony, na nic by się nie zdał. Bo albo celowo przegrał, albo się uchylił od sprawy.

Przegrać celowo nie było żadną sztuką. Sprawy bowiem sporne z robotnikami rolnymi rozpatrywane były przez tzw. Urzędy Rozjemcze, których orzeczenia miały moc sądowych wyroków.

A w skład Kom. Rozjemczej wchodził jako przewodniczący — Rejonowy Inspektor Pracy, 3-ch przedstawicieli ze Związku Ziemian i trzech przedstawicieli z ludności pracującej, przeważnie rzemieślniczej.

Całe to towarzystwo świetnie było dobrane.

Inspektor „na paluszkach" wobec obywateli... ziemskich. W reprezentacji Ziemian tkwił przez lata Żurawiecki, zbankrutowany obszarnik, teraz Sekretarz Związku Ziemian, opój i pieczeniarz, odrabiający plenipotencką robotę z nadgorliwością ostatniej świni. Bo na wokandzie Urzędu Rozjemczego stawały przecież raz za razem sprawy niewypłacanych ordynarii i zarobków, wyrzucenie z czworaków robotników, zwalnianych bez podstaw, na widzi mi się. Pamętam jak kiedyś, tego samego dnia, dowiedziałem się u Potęgi, że biednej wdowie, folwarcznej pracownicy, Chmarkowej Komisja Rozjemcza przyznała tylko wypłatę 20 proc. za całoroczną pracę, a jej dziedzic Turski ubiegłej nocy w naszym miasteczku przegrał w bilard 5.000 zł po pijanemu.

Chmarkowej... dopilnował Żurawiecki i pewnie Murzecki, mistrz kowalski, a raczej właściciel zakładu, przyjmującego obstalunki na karety, powozy i wolanty. Ten członek Komisji reprezentował „lud pracujący". Taki to był „lud", co w umowach obstalunkowych zawsze warował sobie prawo, że on pierwszy otworzy drzwiczki do powozu „jaśnie panu". Otwierał i otrzymywał nowe zamówienia na karety i na... rolę wołu w Komisji Rozjemczej.

Jadąc po latach znów do tego miasteczka, które przed wojną było pasożytniczą narośla powiatu, bawiłem się myślą jakiego to zadam łupnia różnym bogaczom chłopskim, lizusom dawnych ziemian i w jakim to czasie zorientują się te mikołajczykowscy, że nie z obcym przybyszem mają do czynienia?

*

Zameldowano mi samego pana prezesa Powiatowego Zarządu Samopomocy Chłopskiej. Było to w trzecim dniu mojego urzędowania. Oho, spieszy się. Chce zapolować na świeżo upieczonego dyrektora, póki ten się nie rozejrzy w stosunkach miejscowych.

Ciekawe, czy to szkodliwa bestia a głupia, czy też kuta na cztery nogi? Pokaże się po tym, co przyniesie.

Wszedł prezes, Wawryło, właściciel 14 hektarowego gospodarstwa, odległego o 5 km od naszego miasta. Miał on również młyn wodny, co prawda zdewastowany podczas wycofywania się Niemców.

Prezes sięgnął po teczkę, wyciągnął z niej niezmięte jeszcze papiery i ważył przez chwilę, nim usiadł. Wtedy dopiero wręczył mi je bez słowa.

Kuty na cztery nogi — pomyślałem. — Papiery zawierały bowiem orzeczenie wojewódzkich czynników, przyznające powiatowi 500.000 zł na remont budynków oraz 200.000 zł na zasiewy.

— Przychodzę do was dyrektorze z dobrą nowiną. Byście ładnie zaczęli pracę, postaraliśmy się, jak widzicie, o grubsze sumy do waszego rozporządzenia, a my, to znaczy ja, w imieniu Samopomocy Chłopskiej pomogę wam radą komu, gdzie i ile pożyczyć, bo sprawa święta i pilna ma się wiedzieć.

Udałem radość, ale jak to mówią w sztabie — z flanki.

—Porządna to porcja, prezesie, dla naszego zniszczonego powiatu. Mówiono mi o interwencji Zakrzewskiego w województwie, widać poskutkowała.

— Przyznam się wam dyrektorze, że jako radny powiatowy nie głosowałem za kandydaturą Zakrzewskiego. Wystawił ją klub PPR, bo on partyjny, ale ja w dalszym ciągu nie mam do niego zaufania. Tak, jak on do mnie.

— Niesłusznie uprzedzacie się do Zakrzewskiego — odparłem jowialnie — mówiono mi, że na plenum Wojewódzkiej Rady Zakrzewski poruszał nie tylko zagadnienie naszego powiatu, ale umiał je doskonale powiązać z zagadnieniami w skali wojewódzkiej. Uwagę na to zwrócił minister Matuszewski, który w podsumowaniu powoływał się kilkakrotnie na rzeczową argumentację naszego przedstawiciela.

— Nie przeczę, że jest on mądrym człowiekiem. Ale w stosunku do mnie nie jest życzliwie nastawiony. Przed wojną tak mi zbałamucił parobka, że musiałem go odprawić, bo się całkiem zaniedbał w pracy.

Przypomniałem sobie tę sprawę. Zakrzewski przyjeżdżał na majątek dziedzica Radwańskiego dla prowadzenia zebrań ze służbą folwarczną. Po drodze zawadził raz i drugi do młyna Wawryły i widać urobił parobka, skoro Wawryła go wyrzucił. Wyrzucił go za upominanie się o godziwą płacę, a może i za „wywrotowe" odezwania?... To przypomnienie trwało nie dłużej niż błysk gromu. Pan prezes już mówił z lekka wzburzonym głosem.

— Jak wiecie mają się odbyć nowe wybory do ZSCh. Czuję, że z inicjatywy Zakrzewskiego idzie przeciwko mnie szeroka kampania. Myślę dobrowolnie zrezygnować z tego stanowiska. Jest ono dla mnie bardzo uciążliwe. W najbliższych dniach uruchamiam młyn, muszę sam dopilnować gospodarstwa, tym bardziej, że jeden z synów objął gospodarstwo po kolonistach niemieckich. Drugi syn — podkreślił z dumą — zdał egzamin na Politechnikę w Warszawie. Chciałbym być jednak w ścisłym kontakcie z wami, dyrektorze, jak to było za waszego poprzednika, Zdzitowieckiego, któremu udzielałem często informacji o możliwościach płatniczych rolników.

— Zaledwie kilka dni, jak przyjąłem kierownictwo Kasy, dlatego z pierwszej poważniejszej akcji kredytowej chciałbym się jak najlepiej wywiązać, muszę się więc zastanowić, w jaki sposób rozprowadzić kredyt.

— Dyrektorze, przecież rozprowadzenie kredytu, to już nie taka trudna sprawa. Ludzie będą się zgłaszać masowo po pożyczki. Oni już wiedzą, jak koło tych spraw chodzić.

— A co powiecie prezesie na mój projekt? Mam zamiar zaproponować przewodniczącemu Rady i staroście powołanie Komisji Kredytowej w takim składzie: Zakrzewski, Modliński — stary woźny sądowy, ja jako przedstawiciel KKO, delegaci ZSCh, PRN i Powiatowego Komitetu PPR?

— Komisja? Na co komisja? Dyrektor Zdzitowiecki takich subiekcji sobie nie czynił. A Modliński, co on, ten woźny sądowy, będzie tu robił?

— Co będzie robił? Akurat wprost odwrotnie do tego, co robił przed wojną jego pryncypał, pan sędzia, który miał zdaje się obok was, w Krzysztowicach majątek na 200 ha. Prawda? A i to pewnie wiecie, że pan sędzia nie posiadał wykształcenia prawniczego a wybrany został przez obszarników tylko dlatego, że po pierwsze — sam ziemianin a po drugie, że był „znawcą" życia ludu wiejskiego. Modliński przez trzydzieści lat też poznawał chłopów. Pomoże nam rozróżnić bogatych od biednych. Naprawdę potrzebujących, od naciągaczy.

Prezes Wawryło zamrugał powiekami, rude wąsiki podnosiły mu się niespokojnie. Patrzył, jakby mnie dopiero teraz ujrzał. Zmieniłem mu się w oczach i myślach. Zmienił też ton.

— Ja mam tutaj w teczce kilkanaście podań na kredyty, zaopiniowane są przez ZSCh. Po co ci rolnicy, którym zależy na pośpiechu, mają tygodniami czekać na jakąś tam Komisję, która będzie załatwiać miesiącami?

— My też czekamy cierpliwie, patrząc jak niektórzy z naszych klientów nie spłacają nam pożyczek. A jak jest z wami, prezesie Wawryło? — sięgnąłem po pierwszą z brzegu teczkę, udając że odczytuję. — Ani jedna rata nie została przez was wpłacona. Wzięliście 5 pożyczek, urzędnicy monitują a wy nic. I teraz denerwujecie się...

— A te podania?

Wziąłem podania, zacząłem przeglądać. Pierwsze było Antoniego Malinowskiego ze wsi Marcyjany. „Posiada 20 hektarowe gospodarstwo, ogród owocowy i liczny inwentarz".

— A dlaczego nie dopisano w tym podaniu, że na skutek machlojek musiał zrezygnować ze stanowiska przewodniczącego Gminnej Rady? — spytałem słodziutko, Wawryła wybałuszył oczy, nie mógł przemówić. — Wątpię, czy on rzeczywiście potrzebuje pomocy kredytowej, skoro z podania wynika, że posiada budynki ubezpieczone na poważną kwotę. Nie mieszka w piwnicy, jak to jest z kilku rolnikami w jego wsi.

— To poczciwy gospodarz i te zarzuty są niesłuszne — wybełkotał wreszcie Wawryło.

— Mówicie o niesłusznych zarzutach? A przecież ten Malinowski w czasie okupacji jako wójt gorliwie wypełniał zarządzenia niemieckie, krzywdząc niejednego biedaka, wysyłał na roboty do Niemiec. Po wojnie też wykazał dużo talentu. Zaopatrzył swoich braci i szwagrów w gospodarstwa poniemieckie, które jako członek Komisji Weryfikacyjnej z decydującym głosem przydzielał... Zdaje się, że i wy prezesie, należeliście do owej komisji?

— To nie ma nic wspólnego z pożyczkami.

— Co wy mówicie? — udałem zdziwienie. — Nie ma nic wspólnego z pożyczkami? Tacy Malinowscy otrzymują już nie pierwszą pożyczkę. A czyim kosztem, pytam was?... Proszę — podanie waszego syna. A przecież dostał on 40 hektarowe gospodarstwo po kolonistach. Malinowski mu pomógł, a teraz wy chcecie mu się wywdzięczyć. Tak? I to pożyczką na poważną sumę 80.000, a biedak wiejski nie mógł do tej pory otrzymać nawet 10.000 złotych na tzw. dokładkę do kupna krowy czy konia.

— Syn mój otrzymał gospodarstwo opuszczone, to słusznie mu się należy pożyczka.

— Gospodarstwo opuszczone, mówicie? Tylko zapomnieliście dodać, że syn wasz otrzymał zapomogę od państwa i to poważną w postaci przydziału konia i dwóch krów z przydziałów unnrowskich. A niedawno podjął sporą ilość materiałów siewnych w zbożu i nawozach sztucznych, jako zapomogę z funduszów państwowych. A... powiatowy Pełnomocnik Siewny to wasz dobry przyjaciel, prezesie, co?

Wawryło mienił się na twarzy, ale milczał.

— Byłaby to, zdaje się, trzecia pożyczka dla waszego syna u nas w Kasie — ciągnąłem. — Mój poprzednik Zdzitowiecki, widzę, nie próżnował.

Wawryło zaczął wreszcie mówić.

— Wy, dyrektorze, upominacie się za biedotą wiejską, rozumiem was. Tylko nie zastanowiliście się nad tym, jaką oni dadzą gwarancję w zamian za udzielone pożyczki. Krowiny przecież im ostatniej nie zabierzecie, albo też połamanych gratów, gdy nie będą w stanie oddać pożyczki — patrzył teraz na mnie triumfująco. — Twierdzicie, że ja nie spłacam pożyczek. Ale mnie macie na czym ścigać, bo mam duży inwentarz. Maszyny też nieliche. A co do tych pożyczek... na przednówku zboże droższe, młyn już prawie na chodzie, to wam te pożyczki pomału spłacę. Trochę tylko zaufania i cierpliwości.

Aż poczerwieniałem i podnosząc się energicznie zza biurka krzyknąłem prawie. — Skończmy już dyskusję na ten temat.

— Kończę już. Ale raz jeszcze was proszę dyrektorze, odnieście się przychylnie do tych podań, które wam dałem.

— Jeśli będą wszystkie podania takie, jak te dwa pierwsze, bądźcie pewni, że nie będą załatwione po waszej myśli.

— Tyle czasu poświęcam na pracę społeczną. W drodze wyjątku załatwcie chociaż te dwa podania: mojego syna i Malinowskiego.

— Kumoterstwo zwalczam i dlatego energicznie będę się sprzeciwiał, aby te osoby otrzymały pożyczki.

— Widzę, że jesteście zdenerwowani, chociaż i ja jestem nieco zdenerwowany, ale na dyrektora gniewać się nie myślę i jutro czy pojutrze przyjdę do was jeszcze w tej sprawie.

— To moja ostateczna decyzja. Nie ma potrzeby, żebyście się zgłaszali w tej sprawie, chyba że zgłosicie się z pieniędzmi na spłatę długów!

Wawryło raptownie podniósł się i powiedział głośno — Skoro tak, to ja już sam się postaram o nową pożyczkę za pośrednictwem Wojewódzkiego Banku Rolnego, nie tylko dla syna i dla Malinowskiego. Mam ja już takiego znajomka, który ma dojście do urzędników w tym banku. Proszę was o zwrot tych podań.

— Podań wam nie zwrócę.

— Jestem jeszcze prezesem i dlatego obowiązani jesteście mi zwrócić podania jako czynnikowi społecznemu. Nie macie prawa zatrzymywać— unosił się pan prezes.

— Podania adresowane są do Kasy. Żegnam...

Julian Milewski

JÓZEF POGAN

W roku 1949

MIEDZE

(Fragment powieści)

ZARAZ rano ledwie słońce wzeszło, już przed ośrodek spółdzielni zajechał traktor z POM-u.

— Na pewno na przeorywkę miedz — domyślano się i wnet co bliżsi sąsiedzi wylatywali na podwórza, do sadów i na drogę.

Niebawem poruszyli się wszyscy we wsi „prywatniacy" i pogadywali różnie, bo od kilku dni szły po wsi pogłoski, iż niektórzy gospodarze nie uznali wspólnej uchwały gromady, dotyczącej wymiany działek między spółdzielnią a prywatnymi i że „na swoje pole nikogo za diobła nie pusco". Dziwnie to brzmiało w uszach rozsądnych ludzi, bo jakżeż można sprzeciwić się uchwale całej gromady? Ale wiadomo — uparty i chciwy człowiek zawsze się znajdzie. Dziwiły się nawet dzieciaki. Wnet uformowała się ich spora gromadka i hałasując pokrzykiwała śpiewnie:

— Bedo w polu miedze orać!
Przeciwniki gwoltu wołać!
Miedzeee oraać!
Gwooltuu woołaać!

Z bramy ośrodka spółdzielni wyruszyły dwa wozy, na których w słonecznym blasku połyskiwały odwalnice i lemiesze pługów. Oprócz woźniców, siedzieli na tzw. gnojnicach — Lodecki i Latarka. Woźnicy trzasnęli biczami, w takt warknął motor traktoru i ruszyli w pole. A w ślad za nimi popędziły krzykliwe dzieciaki.

— Bedo w polu miedze orać,
przeciwniki gwoltu wołać!

Dojechali ku bielejącym pasom ściernisk wśród szarzejących z rzadka pasów roli, a już „kieby na zawołanie" wszędzie wokoło po polach pełno ludzi. Już i wdowa Dudkowa łaziła po miedzach wokół swego pola. Z ręki zwisał jej aż ku ziemi różaniec. Poprzez szerokość pól chłopi zaczęli pogadywać wesoło:

— Hej, słysycie, jak Dudkowa śpiewo godzinki?

— Dyć słyse! Cóz sie ty ścierwie uburdało?! Cheba nie zbzikowała!

— Tak naprowde to nie, ale ona przecie zawdy mo bzika! Wiecie com słysoł?!

— Cóz takigo?!

— Toli ona mo sie podobno poświęcić i przez moc nie puścić na swoje pole traktora! Zięć zgodził się zamienić swoje dziołke, a staro godo, ze za nic nie ustąpi, bo chce pono na ojcowiźnie zęby zjeść! Godo, ze choćby ją na krzyz przybijali — nie ustąpi!

— Cyrk bedzie z jej uporu i kupa śmiechu!

— To nojpewniejse! Ale nie ino ona sama bzikuje! Inni tyz po trochu! O, widzicie go hań na miedzy jak łazi i patrzy załośnie na ściernisko! Zol mu widać zamienić!

— Cego by zaś było mu zol? Przecie nie lichse dostoł teroz. Ino wiecie, ta głupio duma poli go w piersiach, ze to sprzeciwioł sie gromadzie, a nic nie zrobił! To go truje!

— Jużci tak, nie inacy! O, hań przemierzo syrokość krokami!

— A hań znowu stoi jak zaklęty i dumo!

— Ano, zegnajo uporcywce swoje dziołki!

— He, nie wszyscy! Wiatraka i Uszykowy ani widnąć w polu! Nie śmio sie na ocy pokozać!

— Bo im nijako i głupio, że sie nie po jeich stało! Jo cuje, jak Wiatrakowi wywraco wątrobe!

Oracze zapuścili pługi po rogach poletek, traktorzysta ruszył w poprzek przez wszystkie. Dudkowa podyrdała miedzą na linię kierunku traktoru, różaniec z krzyżem zawiesiła na piersi i rozkrzyżowała ręce.

— Witoj miasto uciecki, wieżo utwierdzona, Dawidowa basztami i bronią wzmocniona!...

Lodecki, Latarka i oracze poderwali się zdumieni. Traktorzysta zwolnił pęd. Biegnące za skibami dzieci wyminęły traktor.

— Babko, uciekojcie, bo wos traktor ozjedzie jak żabe!

Stała jak wryta do ziemi i śpiewała. Dzieci obskoczyły ją.

— No uciekojciez, bo wos ozjedzie!

— Won, pędroki! pieskie nosienie — otrząsnęła się i dalej śpiewa.

Traktorzysta przystanął. Lodecki, Latarka i oracze już byli tuż.

— Wsadzić babe na traktor?! — wołały rozbawione dzieci, czepiając się Dudkowej za chustkę.

— Wsadzić! wsadzić! — odrzekł w ogromnym śmiechu Latarka. — Niech się przewiezie na starość, bo całe życie piechtą chodziła!...

Dzieci pochwyciły kobiecinę, jakby te mrówki grudkę ziemi, czy robaka i w przeraźliwym krzyku poniosły za traktor.

— O diobły! Piłoty! A przybijciez mie na krzyz, kiej mi pole zabierocie! — krzyczała.

Traktor ruszył znów naprzód, popędzony wesołymi okrzykami dzieci i rozpaczliwym na górze lamentem Dudkowej. Lodecki, Latarka i oracze śmiali się do rozpuku. T tuż zza okolnych sąsiedzkich pól odzywały się na przemian to żartobliwe, to oburzone głosy.

Orzący w pobliżu Moreń Maciek przestał gapić się na spółdzielców. Lecz nie chwycił za pług, tylko stał nad miedzą i dumał. Postępował naprzód, to cofał się do tyłu, nachylał się wytyczając oczami linię miedzy.

— Cóz ty tak podglądos, a nie orzes? — głos żony przerwał mu tę „kombinację agrarną". Położyła na miedzy wiązkę koniczyny i koszyczek z dwoma garnuszkami.

Maciej nic w zamyśleniu nie mówiąc, odpiął koniowi wędzidło, położył mu przed pysk koniczynę, po czym usiadł na miedzy, zabierając się do śniadania.

— Wies babo, przysło mi do głowy chłasnąć miedze. Przyźryj no sie jako krzywo.

— Cheba nie, bo sie narobi piekła i boski obrazy.

— Jużci tak. Ale słuchoj: Cegła juz od poru lot, jak mu syn podrós, bucoł nad nami i różnie nom dokucoł. Miedze podorywoł. Teroz jego chłystoń siedzi w kryminole, to stary opuścił usy. To jedno. Drugie — wyciepli go ze spółdzielni, za wroga okrzyceli — tyz opuścił usy. A trzecie — wstąpił przecie pierw do spółdzielni, to mu sie cheba nie bedzie ozchodzić o miedzo. Zreśtą, niech mu chodzi, cy nie chodzi, niech sie nawet wścieknie, cy w tyłek ugryzie — chłasne, bo on sie pierwy wcion w moje pole.

— Kiej tak, to chłaśnij. Uciągnie kobyła, bo twardo miedza?

— Musi. Weźmies ją za cugle u pyska i poprowadzis prosto, a jo bede łoił batym. Nawet zaroz — odłożył łyżkę — i ty teroz polecis do domu po motyke i pociupies twardo skibe.

Zapiął kobyle wędzidło i chwycił za pług.

— Wio karo! A nuze! Wiśta, No!... no!... — postękiwaniem dodawał siły szkapie. — O, do ciężki cholery! jakze ją ty prowadzis?!

— Całuj mnie abo kaj, krzykacu! Som se prowodź!

Kobyła wryła się kopytami w ziemię, wyprężyła grzbiet i charcząc postępowała z wysiłkiem. Przystawała co parę kroków, w gardle grało jej niby piła w tartaku.

W pół godziny miedza była już „chłaśnięta". Maciej ocierając rękawem pot z czoła, spoglądał z politowaniem na kobyłę, której sierść była lekko pomydlona pianami.

— Krzywo sie zorało — żechnął się. — Leć babo do domu po motyke, bo trza obciupać miejscami i skibe posiekać, żeby Cegła nie poodwolol. A za tyn cos — jo pośniodom — przeżegnał

Rys. W. Sieciński

się i zanurzył łyżkę w zacierce z mlekiem.

— Smacnygo — pozdrowił go idący w poprzek staj, Gruda.

— Bóg zapłać — Moreń zatrzymał łyżkę pod gębą i patrzył podejrzliwie na tamtego. — Obchodzicie pole? myślicie już robić? — zagadnął zawstydzony, bo odwalona w nieładzie skiba miedzy niemiłe o nim świadczyła.

— Nawet juz trza bedzie pomyśleć o tym, zeby kaj konia nająć. Moze byście wy przyjechali?

— Hm, hm — chrząknął. — Cymze on po spolyniu zapłaci — zastanawiał się w myśli. — Trza by cekać do żniw. — odrzekł więc — Nie da sie, bo mie juz pozamówiali, a dyć o konia nie trudno. Nojmiecie bez kłopotu.

— Wiecie, co wom chciołem pedzieć?

— Co?

— Groch posłoł z pola syna po Cegle. Ino zebyście mie nie wydali, bo my doś po ludzku ze sobą zyjemy. Przysedem wos ustrzec, bo Cegły ino, ino patrzyć. Dobrzeście tymu spolacowi zrobili — spoglądał na odkrojony sznur miedzy. — Jak przyjdzie do cego — jo sie ujme za wami. Odyjde, zeby nos kto o zmowe nie posądził i bede dawał pozór.

— E, nie boje go sie, choć on tęzsy ody mnie. Nie zje mie. Stanijcie no. Kiedyzbyście chcieli robić w polu? Przyjechołbym choć na dzień, chocioz ni ma casu. Nie za piniądze, ino tak z grzeczności boście przecie po niescęściu.

— Jakbyście mieli ochote i przyjechali, to bym rod był i wywdzięczył sie kiedy.

— Dobrze, dobrze, przyjade.

Kara obeschła z piany i krzepko stąpała, że nawet bata nie było na nią potrzeba. Ale Maciej był zaniepokojony i śmigał raz po raz, spoglądając to na schyloną nad skibą żonę, to w stronę wsi. Przystanął wreszcie i trzęsącymi rękami jął zwijać papierosa, z przeciwnej bowiem strony wzdłuż pola szedł Cegła. Przystanął na odkrojonej miedzy, pokiwał głową, zaklął cicho i pięścią potrząsnął w powietrzu. Ruszył szybko ku Moreniowej. O parę kroków przystanął.

— Mocie sposób na ozsyrzanie pola — mruknął. — Ani na traktor nie cekocie, ino sami, jak tyn wilk, na cudze sie z pazurami rzucocie.

— Wyście tak od downa ozsyrzali — odburknęła Moreniowa, sprostowawszy grzbiet.

— Jo ozsyrzoł?!.. — Niech by cieza to nogło krew zaloła!

— Ino nie od nogły krwie — odkrzyknął Moreń.

— Na coś zoroł?!

— Bo mi sie tak podobało. Tobie miedzo nie potrzebno, boś ty przecie juz w spółdzielni! — uciął go. — Babo, ciupoj skibe! — zawołał odważnie na żonę, bo oto Gruda szedł w poprzek staj sąsiedzkich.

Kobieta podniosła motykę i ostrzem uderzyła w skibę. Cegła złapał za rękojeść, zakręcił i szarpnął. Moreniowa fiknęła kozła. Motyka została w rękach Cegły.

— Gwołtuuu! Gwołtuuu!

Moreń odpiął pospiesznie orczyk od postronków i skoczył naprzód.

— Pódź, to ci w mig łeb utne jak kogutowi — warknął Cegła wymierzając się do ciosu.

Moreń zatrzymał się o parę kroków.

— Co chces od moi baby?! Cegoś ją raznył?!

— Przeciem ją nie zgwołcić przysed! Swoigo bronie, psiekrwie!

— Ty ścierwo swoigo bronis?! — zamęlła Moreniowa. — My swoigo bronimy! Odbieromy se, coś nom z garła wydarł.

Gruda stanął na miedzy i „okiem znawcy" wytyczał jej linię.

— Prowde pedzieć, tak po bożymu, to Moreń nic za granice nie zoroł. Wyprostowoł ino.

— Pocałujcie go w nos, przychłybco — burknął Cegła. — Pocoście tu przyleźli?

— A wy mie w tyłek. Przysedem, bo mi sie tak podobo!

— Mącicielu obrzydły! Tfy! tfy! Weź se lepi córke i zaprowodź na licytacjo, bo jej wydać ni mozes!

— Ty idź podpoloj ze synem! Spolacu cholerny!

— Wezne cie cholerniku w tryby, wezne! — wtórował Moreń. — Nie bedzies już ozsyrzoł se pola! Nie bedzies podpoloł! Nie bedzies ludzi przeciw spółdzielni buntowoł!

— Nie bedzies! Nie bedzies! — uderzała Moreniowa pięścią w pięść. — Roz na zawdy trza cie naucyć ludzkiego zycio!

Od strony lasu szedł śpiesznie bogacz Groch. Nad miedzą pokręcił głową. Cegła zbliżył się ku niemu.

— Osądźcie no, kumotrze, cy to po ludzku tak?

— Cóz tu osądzać? — wzruszył Groch ramionami. — Tyn ucynek som za siebie mówi i potępio.

— A downi nie potępioł jak Cegła worywoł się co roku? — wtrącił się Gruda.

— Nie udajcie no głupka, godojcie po sprawiedliwości. Przecie Cegła nie noleży do tych, co leco na cyje.

— Dyć go znajo naokoło.

— Ze porządny i statecny gospodorz. Swoigo nie do, ale cyigo na pazur nie rusy.

— Jak nie rusy, to koze podpolić.

— Nie bzikujcie no, bo mie jaz trzęsie! Zeście źli na Cegle, to juz o to huzia na nich. Dziwie wom sie, bardzo dziwie — pokręcił głową.

Gruda postąpił do Grocha.

— Zrozumcie no... osądzcie no...

— Dejcie mi święty spokój! Nie chce wos słuchać! Z wami ni ma co do godanio! — otrząsnął się. — Obstowocie za tym co nie sanujo cudzygo! Inacym se wos wyobrozol!

— Jak mie se wyobrozoliście? — złościł się Gruda. — Ze jaki mom bąś?! Godojcie!

— A ze niewinnygo baranka udajes, a cichacym psiocys na spółdzielnio! — ryknął Cegła. — Myślis ze nic nie wiem?!

— Zyjdź mi juz z oców, bo cie ślag trafi! — zgrzytnął Moreń i wymierzył się orczykiem. — Abo moja dziś śmierć! abo twoja!

Doskoczyła też i żona.

— Oddaj mi motyke! oddaj! oddaj!

Cegła stracił trochę odwagę i posuwał się do tyłu.

— Bo cie rąbne przez łeb! Rąbne jak Bogo kochom!

Moreń powstrzymał się od uderzenia. Cegła cofał się dalej do tyłu, Groch zasłaniał go sobą.

— Do sołtysa zaniese motyke! A o miedzo skarze do sądu! Nauce cie cholerniku! nauce! nauce — uderzał się w pierś.

Moreń z Grudą usiedli na paseczku pozostałej miedzy i zapalili papierosy. Moreniowi trzęsły się ręce. Gruda był bardziej spokojny.

Nadszedł Śmidela i wskazał ręką na pola spółdzielni.

— Widzicie, hańci słyseli swor.

— To i co?

— No nic. Nie downo prywatniocy śmioli sie z nich, teroz oni sie bedo śmioć z prywatnioków. Jesce bardzi, bo oni letko sie pohandrycyli przy robocie, a wy o głupio miedzo, porusyliście piekło i niebo.

— Jo go nie zacypiol, ino on mnie. O dobro rzec, bom zawcasu zlikwidowol miedzo — próbował Moreń nadrabiać żartem.

— Wylazło sydło z worka — przypomniał Śmidela.

Wytrzeszczyli nań oczy.

— Teroz juz jasne, ze Cegła był za wtycke przez wrogów do spółdzielni, bo jakby na prowde miol chęć do spółdzielni, to by sie o miedzo nie wściekoł. Nasłuchołem sie, bom siedziol hań za skolką.

— Jużci to prowda — zastanowił się Gruda — wróg obecnygo ustroju i gospodarki w spółdzielni, a mnie o to posądzo i doniesieniem odgrozo. Najsłuchojcie sie, co to za przewrotnik.

— Gadu, gadu, a tu sie samo nie bedzie orać — dźwignął się Moreń z ziemi. Dźwignęli się też i tamci.

— Pódymy sie przyźryć na spółdzielce, jak robią — wspomniał Śmidela.

— Juści by wortało. Pódźmy.

Sprzągniętymi w parę końmi orali kawałek ziemniaczyska Twaróg i Szymka. Pierwszy pojeżdżał, drugi trzymał za pług. Zaś w odległości może ćwierć kilometra, kultywatoro-

(Dokończenie na str. 4-ej)

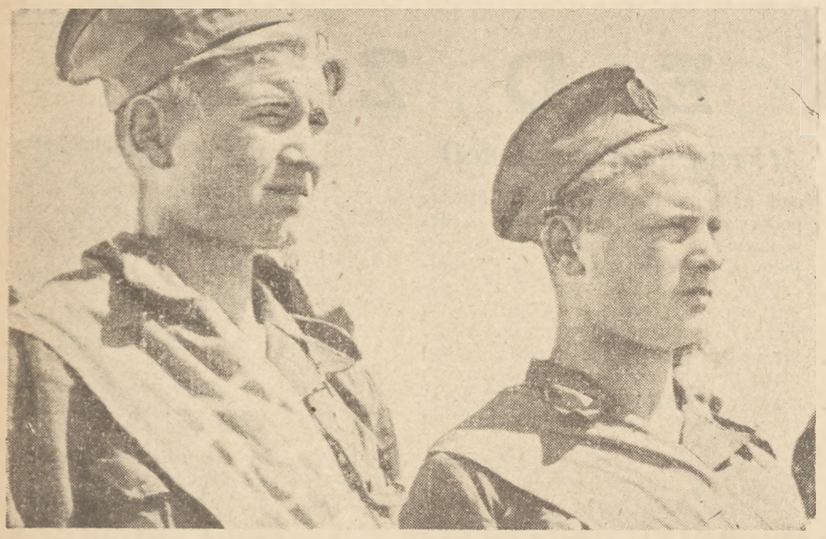

Pokolenie Polski Ludowej Foto C. Świrta

POKOLENIE INNEJ KONSTYTUCJI

Tęsknota do książki

W ROKU 1916 zacząłem chodzić do miejscowej jednoklasowej szkoły powszechnej. Książka, zeszyt, ołówek, piórо, piórnik były stałą moją troską. Umiałem naprawiać zepsute stalówki, pisać złamanym ołówkiem, wytrzeć plamy bez gumki, mówić tajemniczym językiem, robić diabełka z papieru. Lubiłem czytać książki ilustrowane obrazkami.

Z zazdrością patrzyłem na bibliotekę nauczyciela, która stała w klasie obok pieca. Upatrzyłem sobie książkę, którą chciałbym mieć i przez kilka tygodni śledziłem, czy aby ona jest. Obejrzeć jej nie mogłem, bo szafa była stale prawie zamknięta, prosić o pakazanie i pożyczenie nie śmiałem. Myślałem, że nie ma innej rady, trzeba książkę ukraść. Od myśli do czynu. Pogodziłem się z myślą, że będę złodziejem, ale nikt nie zobaczy, to może i nie. Szukałem sposobności, jakby książkę z szafy wydostać.

Pewnego razu poszli wszyscy sadzić drzewka w szkolnym ogrodzie, szafa stała otwarta, więc ja cichaczem do klasy (jak mi strasznie nogi drżały), wyciągnąłem upragnioną książkę i co prędzej za ustępy schowałem pod przyciеś obory. Poszedłem po nią dopiero wieczorem. Jakież było moje rozczarowanie — książka była rosyjska, a ja po rosyjsku nie umiałem czytać. Przyniosłem ją do domu, ale położyłem w komorze za belką Jedyną moją lekturą były nadal „Wypisy" (książka do j. polskiego) starszych braci i kalendarze. Wreszcie miałem i własną książkę, dostałem ją jako nagrodę za pilność i postępy w nauce. Były to „Mośki, Jośki i Srule" Korczaka.

„Młode Pokolenie Chłopów"
(Z życiorysu syna gosp. 12 mg. z pow. Kielce, ur. 1907 r.)

»Przez ciebie z głodu pozdychamy...«

WE wsi już też się oswoili z tym, że się chodzę uczyć. Ja po całych dniach bez wytchnienia uczyłem się jak tylko mogłem, jakie książki mogłem skąd zdobyć, czytałem i przepisywałem. Na zdrowiu jednak podupadłem, gdyż jeść nie mogłem, no i nie było bardzo co w domu jeść, wciąż był post, a mleko trzeba było zbierać na masło, by można było kupić soli i nafty, oczywiście i machorki dla ojca. Siostry chodziły na jagody i sprzedawały. Było to jedyne dla nich wyjście, żeby sobie kupić jakąś sukienkę lub mieć kilka groszy na jarmark i odpust Matka była zapracowana, bo trzeba było robić i w domu i w polu, nie mogła jednak podołać robocie w polu, bo zielsko pozarastało len, kartofle i kapustę, ale nie narzekała — zresztą wszystkie we wsi kobiety to samo robiły. Pomimo przepracowania co niedzielę i święto była w kościele. W domu było smutno i ponuro, od czasu jak zacząłem się uczyć, nawet dziś nie wiem, dlaczego — może dlatego, że z powodu paszenia krów — było więcej roboty.

Pewnego dnia mój nauczyciel mi powiedział: ja za dwa dni wyjeżdżam do szkoły, niech jutro przyjdzie ojciec. Tego się trochę przestraszyłem, ale powiedziałem, że dobrze. Myślałem tylko o tym, kto będzie mnie uczył, bo przerwać naukę nie miałbym siły — wtedy bym naprawdę zwariował Ogarnęła mnie taka żądza do nauki, że o niczym innym nie mogłem nawet rozmawiać swobodnie z kolegami, bo stała mi w myśli jakaś lekcja, jakaś pogadanka, lub roślina, o której się uczyłem. Na drugi dzień jak zwykle wybrałem się na lekcję i powiedziałem ojcu, żeby ze mną poszedł. W domu matka i siostry zrobiły straszny krzyk, że ojca mój nauczyciel w sprawie pieniędzy wzywa, że ostatnią krowę trzeba będzie sprzedać. Matka groziła mi pięścią i mówiła „przez ciebie z głodu pozdychamy".

. . . . . .

O szkole wtedy nie było mowy. Żal mi było, że się nie będę uczył. Ojciec powiedział, że jak się w świecie uspokoi, to na drugi rok pójdę. Długi podobno w kasach przepadną, więc będzie lżej. Ja przez całą zimę powtarzałem sobie lekcje i czytałem książki rolnicze Nigdzie nie chodziłem, po całych dniach siedziałem w domu, moi rówieśnicy śmieli się ze mnie, że nie chodzę na „kawalerkę", ale ja jakoś nie miałem chęci.

. . . . . .

W domu rozmyślałem przez cały czas, po całych dniach, co z sobą zrobić, do czego się wziąć, jak dalsze życie sobie ułożyć. Nie mogłem jednak nic wymyślić. Przyszło mi do głowy, żeby jakąś szkołę znaleźć i uczyć się na nauczyciela, ta myśl mi najlepiej zdaje się odpowiadała, toteż postanowiłem poszukać sobie jakiejś szkoły, zwracałem się pisemnie do kilku szkół, odpisano mi, że mam za dużo lat.

(„Młode Pokolenie Chłopów". Z życiorysu syna gosp. 6-morg. z pow. Kozienice, ur. 1907 r.)

»Dniem i nocą marzyłem o szkole«

W DWUNASTYM roku życia ukończyłem 4 oddz. szkoły powszechnej. W ostatnim oddziale byłem dwa lata. Nie miałem co robić w latach następnych. Nauczycielstwo namawiało ojca, aby wysłał mnie do szkół Miałem szaloną chęć się uczyć. Niestety! Nie było pieniędzy. Byłem pozostawiony, bezradny. Widziałem, że rodzice myśleli dniem i nocą, naradzali się, trudno, pieniędzy nie było.

Pozostałem Dniem i nocą marzyłem o szkole. W niej widziałem przyszłość. Przez dwa lata chodziłem jak obłąkany. Nie przestawałem jednak się uczyć, myślałem, że kiedyś nadejdą lepsze czasy, będę mógł skorzystać ze szkoły. Znosiłem różne książki, przeważnie naukowe, dokształcałem się Po dwóch latach tej bezradności utworzono piąty oddział we wsi W., 3 km od nas Uczęszczałem. Lekcje rozpoczynały się o godz. 7-mej rano. Wstawałem o 5.30 i wymarsz do szkoły Ale na tym się kończyło.

(„Młode Pokolenie Chłopów"
(Z życiorysu syna gosp. 8,25 z pow. Konin, ur. 1909 r.)

„Dlaczego mu wzbraniają?"

NADSZEDŁ krach, ojciec nie zarabiał już wcale i tak nagle, szybko zadecydował, że mam opuszczać szkołę.

Spodziewałem się wszystkiego, ale takiej wiadomości nigdy. Toteż przygniotło mnie to okrutnie. Byłem młody i jak dziecko powinienem był wtedy płakać, a jednak ani jednej łzy nie uroniłem. Straciłem wszystko w głębi duszy. Stałem się od razu „dorosłym", w tym słowa znaczeniu, iż zacząłem gardzić życiem. Poczęłem się buntować. Jak to, ja chcę nauki, ja chcę kończyć to gimnazjum, a potem nawet uniwersytet, a nie wolno mi, dlaczego mi wzbraniają? Brak było pieniędzy i ta przyczyna zmusiła mnie do opuszczenia tych murów szkolnych. Rozpoczęło się codzienne, nudne, jednostajne życie na wsi.

. . . . . .

Stałem się wtedy samotnikiem. Unikałem wprost ludzi litujących się nade mną lub wyśmiewających się, a to ten, co się uczył na „pana". Wówczas tym bardziej poczęłem się gryść w sobie i myśleć, jakby tu uczyć się nadal i zdobyć maturę. Na nic przydały się moje wysiłki i noce bezsenne, podczas których układałem różne plany, celem wyrwania się stąd i zdobywania nauki. Wszystko to spełzło na niczym.

„Młode Pokolenie Chłopów"
(Z życiorysu syna gosp. 5 mg. z pow. Wieluń, ur. 1916 r.)

MIEDZE

(Dokończenie ze str. 3-ej)

wał szersze staje Wrzecionko, gdzieindziej ktoś Latarkową klaczą żwawo wyorywał róg trzech do siebie przyległych poletek. A tuż obok kilka kobiet i mężczyzn rozkopywali wysokie skarpy dwu miedz. Gdzieindziej znów kilku mężczyzn mocowało się z glogami na miedzy.

— Psio bestyjo, cysco pola — udziwiali się Moreń i Gruda. — Tak samo, kieby u siebie na prywatnym, tyle ino, ze z lepsym planym. Dziwne — kręcił głową Gruda — ze jedni równajo brzegi miedz, a drudzy swarzo sie o nie i z motykami i orcykami nad łbami se wywijajo. No, wykop tu bracie takiemu Cegle, Grochowi, cy Wiatrakowi ciernioka na miedzy, to sie wściece, porusy niebo i ziemie i do sądu ze skargą poleci, bo godo, ze to „krzok granicny i musi na znak rosnąć na miedzy". Jakby wszyćkie miedze ozkopać, brzegi wyrównać, uprawić jak nolezy, powieź i obsiać — he! trzy razy tyla byłoby chleba co teroz!

Józef Pogan

Przeszłość wsi w rewolucyjnej poezji chłopów

MACIEJ SZAREK

ROZMOWA SZLACHCICA Z CHŁOPEM

SZLACHCIC:

„Ach mój miły bracie chłopie, mam do ciebie prośbę,
Żebym został posłem waszym, czułbym się z tym dobrze.
Chociaż jestem szlachcic z rodu, mam lud na pamięci,
Duszą, sercem go miłuję jak ojciec swe dzieci.

WŁOŚCIANIN:

Szlachcic chytry i obłudny, w nim wrodzona pycha,
Włościanina w każdej sprawie od siebie odpycha.

SZLACHCIC:

U nas równość być nie może, potrzebna różnica,
Bo co kontusz, karabela, to nie płóciennica.
Chłop się na to na świat rodził, by na nas pracował,
Z dala stał od innych stanów i nie rezonował.

WŁOŚCIANIN:

Głupstwo pleciesz, mój szlachcicu, a chcesz zostać posłem,
Gdybyś w Sejmie tak powiedział, nazwałbym cię osłem"!

MICHAŁ KOSSOWSKI

PAROBEK DWORSKI

Za marne wynagrodzenie
Pracuje ten człek na pana
Straszne jego położenie,
Dola psia i opłakana.

Izbina — nikiej jaskinia.
Tam ma z rodziną mieszkanie,
Stół bez nogi, tapczan, skrzynia,
To całe umeblowanie.

Pożywienie — chleb, ziemniaki,
Na inne go nie stać wcale,
W roczne święta i kusaki,
Czasem mięsa po kawale.

Jeden kubrak, kapocina,
Kożuch lichy, koszul parę...
Nie więcej ma kobiecina
Dzieci dodzierają stare.

Do roboty świtem idzie
Późno do dom w nocy wraca...
W ciągłej pracy, w ciągłej biedzie
Godność swą ludzką zatraca.

Nędzny, dość często łajany,
O braci się nie kłopocze...
Dzieci chowa tak, by pany
Miały znów bydło robocze.

Gdy jest chory albo stary,
Nie może se już dać rady...
Biorą go zwykle za bary:
Ruszaj pod kościół na dziady!

MICHAŁ ŁAZORCZYK

K O L Ę D A

Już pamiątkę narodzenia
Wiek dwudziesty obchodzim,
Wyglądając z utęsknieniem
Że się wreszcie odrodzim.
A za rokiem rok upływa
I oświaty wciąż przybywa,
By lud był odrodzony.

Lecz oświata dla nas braci,
Tak dziwacznie zmieszana
Księża inna, chłopska inna,
Jeszcze inna dla pana.

Bo dla ciebie dosyć chłopie,
Abyś wiedział, że to w szopie
Chrystus Pan się narodził.

Wszak Tyś Jezu się narodził,
Żeby krzywdy skasować,
A oni nad tym pracują,
Ey na świecie zachować
Obłudę, zdzierstwo, ciemnotę
I dochodów czasy złote,
A chłopa nie żałować.

(Z „Zarania")

WOJCIECH BREOWICZ

WIDZIAŁEM KIEDYŚ

Widziałem kiedyś, chłopie - wyrobniku,
żeś grzebał żonę bez kadzidła, dzwonów,
w głębokim dole — przy czarnym krzyżyku —
o „wieczny spokój" śląc modły do Tronu
i klnąc „pasterza" — bo żądał tak wiele
za pokropienie twej zmarłej w kościele...
Widziałem zasię twe dziecię zsiniałe,
jak ci na rękach konało w noc ciemną
z głodu i zimna; ty pracy szukałeś
miesiąc, rok, cztery — ale nadaremno...
Wśród nędzy zmarłe dziecię śpi pod jodłą,
a ty przeklinasz sprawiedliwość podłą...
Bracie! widziałem: dobytek ostatni
egzekwowano ci — gdyś z nędzy konał...
Nie ulitował się tobie człek bratni,
choć dzieci głodne i ty suchotach żona...
Widziałem wiele... rozpacz mnie ogarnia
i mówić nie chcę... straszna to męczarnia!
Patrz! tam w złocistych komnatach śpiew dzwoni,
szampan się leje — i kielichy dźwięczą...
Złoto szeleści w pasożyta dłoni
w kółku nierządnic — pod użycia tęczą...
— — A tam na śniegu sierota skostniała — —:
Przeklęta taka sprawiedliwość cała!!

JÓZEF BOBEK

* * *

Spojrzyj o bracie chłopie na twą smutną dolę
Kiedy orzesz nie swoją ale pańską rolę
Kiedyś jest narażony na bat ekonomski
Chociaż bicie u s t a w ą wyrzucono z Polski
Kiedy orzesz te wielkie w wolnej Polsce łany
A z tego moc mieć mają rzymiany i pany...

Spojrzyj o bracie chłopie na ten los twój srogi
Gdy proboszcz twój i dziedzic w dostatkach pływają
Jak on bogacz biblijny wygód używają
Spojrzyj o bracie chłopie na parcelację
Jak robią na skórze twojej spekulację
I choć ustawa rolna dla ciebie istnieje,
To jednak się obszarnik z prawa widać śmieje,
Gdy od morga tysięcy sto pięćdziesiąt liczy...
„I tylko za gotówkę" — wnet ci w ucho kwiczy.

Więc o bracie rodaku! Otwórz swoje oczy!
Niechaj krwi robotniczej kapitał nie toczy
Śmiało z lewicą walcz o swoje prawa,
By cię słyszała Polska, Sejm, oraz Warszawa.

(Wiersz drukowany w numerze 7 „Przyjaciela Ludu" w r. 1922)

Od Redakcji

OBOK pieśni ludowej tej „arki przymierza między dawnymi i młodymi laty" istnieje inny rodzaj folkloru literackiego — to amatorskie próby poetyckie drukowane w najdawniejszych pismach ludowych, lub przekazane w rzadkich zbiorach wydawanych przez instytucje oświatowe np. Macierz Polską. Pieśń ludowa w wyborach i zapisach profesorskich np. Bystronia, tendencyjnie kastrowana była ze wszelkich akcentów buntu i z realizmu w przedstawieniu doli chłopa. Dziś przed etnografją naszą stoi zadanie prawidłowego, realistycznego ustawienia literackiej twórczości ludu, a to nie tylko pieśni, lecz i tych właśnie pisanych dokumentów kultury ludowej. W tym drugim wypadku trudności są nie mniejsze, mimo że przecież mamy do czynienia z bardziej sprawdzalną, zapisaną tradycją. Antologie t.zw. literatury chłopskiej (Koniński, Pigoń) zamazują istotny charakter tej ludowej amatorskiej twórczości literackiej. Z dorobku wybitniejszych i bardziej znanych twórców ludowych autorzy antologii wybierają utwory jak najgładsze, jak najbliższe panującej konwencji literackiej w ujęciu życia wsi. Dlatego też o rewolucyjny folklor literacki nie jest tak łatwo. Trzeba w poszukiwaniu go wertować całe roczniki pism ludowych, które również znacznie przesiewały napływające materiały, nie mówiąc o tym, że charakterem swym same wytwarzały specjalne zamówienie społeczne. Nie dotyczy to niektórych roczników „Zarania" i „Przyjaciela Ludu", gdzie realizm bytu chłopskiego mógł znaleźć pewniej swe odzwierciadlenie w realizmie utworów literackich, pisanych przez chłopów.

Podajemy dla przypomnienia kilka z takich utworów. Wiele głosów w dyskusji nad projektem naszej Konstytucji zawiera partię wspomnieniową. Piszący lub wypowiadający się wracają do przeszłości, aby tam przez przeciwstawienie szukać głębokich racji życiowych nowej Konstytucji zdobytej wysiłkiem, walką i wiekowym cierpieniem mas chłopsko-robotniczych. Dlatego też sięgnięcie do przeszłości bytu wsi w utworach samych chłopów ma dla nas sens podobny. W utworach tych klasa chłopska przygląda się swemu dawnemu życiu, aby przypomnieć swą drogę, po której szła do osiągniętych, ustrojowych i prawnych zdobyczy.

Na zakończenie tego wprowadzenia chcemy zwrócić uwagę na styl literacki, w szerokim znaczeniu tego terminu, chłopskich prób poetyckich. Tkwią one w głębokiej i w głównym nurcie literatury płynącej tradycji polskiego wiersza Mamy tu tradycję Reja w chropawym i dosadnym dialogu Szarka, mamy ludową pieśń kolędową Łazorczyka, pisaną na melodię jednej z najstarszych kolęd polskich „W żłobie leży". Mamy tradycję klasycznej retoryki politycznej z okresu oświecenia w wierszu Bobka. Jest tu i echo liryki społecznej Konopnickiej i jej przejmujących „Obrazków" w wierszach Sawczuka i Breowicza. Wreszcie w wierszu Stopy dochodzimy do mocnego akcentu rewolucyjnej poezji chłopa i robotnika razem.

Tkwiąc tak głęboko w tradycji polskiej kultury ta zapisana przez chłopów „pieśń ludowa" świadczy raz jeszcze o jedności i jednolitości zasadniczego realistycznego nurtu naszej kultury, która obecnie, w Polsce Ludowej, stała się dopiero kulturą prawdziwie i w pełni ludową.

KAJETAN SAWCZUK

GŁOS Z ZIEMI ŁEZ

Nie było tu słońca, nie było,
Nie było go komu rozpalić —
Na ziemi zastygłej tą bryłą
Hej, słońca jasnego nie było —
Nie było się komu pożalić.

Gdzieś bywał ty gościu stooki
Przez wieki niedoli, cierpienia,
Czyś zastygł, lub skrył się
w obłoki?
A ziemię zaległy wskroś mroki,
Nie widać złotego promienia.

Nie było tu komu zaśpiewać
Tej pieśni, co pieśnią potężną,
Nie było serc komu rozgrzewać,
A w dusze otuchy dolewać,
Rozbudzić brać moją siermiężną.

Nie było tu komu zaorać
Ugorów. Gdzież byli oracze?
Chwast siali, miast niwy te orać,
Nikt z nędzą się nie chciał uporać,
Hej, smutno... i serce me płacze.

PIOTR FRANUSIEWICZ

GŁOS POLSKIEGO TUŁACZA

W głębiach kopalni, w ziemi francuskiej
Jam biedny tułacz zajęty pracą,
A myśli moje wraz z moim duchem —
W górę się w szybie kołaczą...

I myślę nieraz nad dolą swoją,
I wszystkich polskich tułaczy,
Co w głębi ziemi — tu — na obczyźnie —
Padają trupem przy pracy!...

Przecież Ojczyzna nasza bogata,
Bo wszystkie skarby posiada.
Czemuż robotnik przy pracy swojej,
A rolnik przy pługu — — biada!? — —

Robotnik pracą kraj swój podnosi,
Rolnik przysparza plonów:
Dlaczego za to jeden i drugi
Wlecze złą dolę tułaczą?!

ANTONI STOPA

ROK 1896

I wy myślicie, że do końca świata
Tak będzie człowiek pożerał człowieka?
Że tak będziecie szczuć brata na brata,
Że będzie zwierzem od wieka do wieka?
Że będzie ostrzył na drugich pazury?
Dołem głód będzie — a wyzysk u góry?

I wy myślicie, że już tak na wieki
Wy najpiękniejsze kwiaty macie zrywać?
Drugich uciskać, by potem kaleki
Rzucać do błota, deptać i wyśmiewać?
I wy myślicie, że już tak na wieki
Zalegać będzie i m i a s t a i p o l a?

I wy myślicie, że człowiek nie Bogu,
Ani swej pracy ma zawdzięczać życie?
I kiedy dla was zdycha na barłogu,
Chlebodawcami jego się mienicie,
I ubliżacie najwyższej powadze,
Bając, że Pan Bóg na was przelał władzę?

I wy myślicie, że milionowych
Rzesz l u d z i p r a c y wy będziecie panem,
Panem ich życia lub śmierci głodowej?
Że macie rządzić każdym innym stanem?
Że umiejętność, poezja, sztuka,
Dziś ma wam służyć, tak jak wierna suka?

O, panie bracie! trudno upolować
Orła na Tatrach, ale stokroć trudniej
Geniusz ludów pod szlafmycę schować!
Czy wyście ślepi, czy wyście obłudni?
— Stawcież na poprzecz Wisły mocne wały
To wam zaleje z pewnością kraj cały!

(„Prawo Ludu", rocznik 1896)

TADEUSZ MURAS

OJCOWIE i SYNOWIE

WIELOKROTNIE zastanawiałem się, jak wyglądałoby życie moje i mojego rodzeństwa, gdyby nie powstało ludowe państwo, które otworzyło nam szeroko drzwi do nauki, do twórczej, uspołecznionej pracy, do najbardziej odpowiadającego naszym zamiłowaniom zawodu. Gdyby od 1939 roku nic się w Polsce nie zmieniło, czy uniknęlibyśmy takiego losu, jaki ukształtował życie naszego ojca, stryja, czy ciotki Konstancji?

Trudno o coś bardziej koszmarnego nad życie wyrobnika, dla którego nawet praca za samo wyżywienie nie zawsze znalazła się we wsi.

Rodzice ojca posiadali wprawdzie małe gospodarstwo, zostało ono jednak po ich śmierci zlicytowane między kilku chłopów za sąsiedzkie zadłużenia. Ojcem moim, jako niepełnoletnim (miał wtedy zaledwie 6 lat) zaopiekowała się rada familijna.

Najbogatszy członek rady, jakiś wujek wziął go na „wychowanie". Jak to wychowanie wyglądało w szczegółach, ojciec nigdy nie opowiadał, jedno wiadomo mi, że po dwóch latach uciekł od wuja, wolał iść na służbę do obcych. Przez 22 lata harował u gospodarzy za kilka korców zboża rocznie. W dodatku przyszło mu brać udział w bratobójczej wojnie ze Związkiem Radzieckim, w której stracił zdrowie. Po tylu latach służby i poniewierki nie pozostało nic, prócz lichego ubrania i ciemnoty, która nie pozwalała nawet zrozumieć własnej krzywdy.

Ale najcięższe lata zaczęły się dopiero wtedy, gdy ojciec założył rodzinę. Matka moja była córką 18-morgowego gospodarza. Dlaczego wyszła za służącego, nie wiem, dość, że wyszła, ku zgrozie całej rodziny, wskutek czego nie dostała w spadku nic, prócz 40 prętów kwadratowych ziemi, na której wolno jej było postawić sobie domek.

Jedno z najwcześniejszych wspomnień mego dzieciństwa pozostawiło mi w pamięci obraz matki, pochylonej pod ciężarem ogromnej płachty pełnej zielska dla krowy i prosięcia. Zielsko to wolno jej było zbierać na polach gospodarskich. O wiele później dowiedziałem się jakim warunkiem był obwarowany ten przywilej: matka musiała zbierać zielsko w ten sposób, żeby po niej nie trzeba było ponownie plewić. Czyż to nie kpiny? Pelonka za uzbierane zielsko!

Ojciec chodził do roboty nieco dalej niż matka. Wracał do domu nocą a wychodził przed słońcem. Niekiedy zjawiał się w domu tylko na niedzielę. Przez długi czas oglądałem go tylko w niedzielę. Strzygł wówczas chłopom rano włosy, później sam się golił i siedział w domu, odpoczywając.

Te czasy utkwiły mi w pamięci w kilku żałosnych epizodach, dotyczących przejść z krową, którą gospodarze odbierali mi, gdy wypasałem gromadzkie drogi i rowy. Chodziło im o to, żeby ojciec zjawił się po krowę sam, zaproponował odrobek i upokorzył się. Byłem przy tym świadkiem kłątw i bójek, a najwięcej dostawało się mnie i to nie w domu, a na oczach całej wsi. Ojciec musiał przecież w jakiś sposób dać satysfakcję swoim chlebodawcom. Niewiele to pomagało. Krowa była zawsze ością w gardle bogaczy, której nigdy przełknąć nie mogli. Dopiero wtedy, gdy pasaliśmy ją na pastwisku, za które ojciec odrobił lub zapłacił, stosunki nieco się poprawiły.

Tak samo żył stryj Józef, któremu wymierały dzieci, a zostało przy życiu tylko jedno z krzywicą. Stryjenka kiedyś dała się ponieść marzeniu o lepszym życiu i zagrała na loterii u jarmarcznego sztukmistrza. Tak grała, aż przegrała wszystkie pieniądze za świniaka, którego w ten jarmark sprzedała. Biegała potem z płaczem po rynku, ale pomogło jej tylko solidne lanie, jakie sprawił jej stryj. To było chyba jej ostatnie marzenie o szczęściu.

Ciotka Konstancja służyła w okolicznych folwarkach. Najczęściej była tylko robotnicą sezonową. Gdy nie miała roboty wracała do któregoś z braci lub sióstr. Składała swoje toboły przy ścianie i najczęściej nie rozmawiała ze starszymi. Być może, że bracia i siostry nie chcieli z nią rozmawiać. Jest to najbardziej prawdopodobne, bo wreszcie wyniosła się gdzieś w dalsze okolice i tylko kilka razy widziano ją przypadkowo w Łowiczu.

Wujka, który odziedziczył gospodarkę rodziców matki pamiętam tylko z kłótni. Co rok worywał się w nasze 40 prętów ziemi. Po kilku latach orał już przy samej przyciesi tak, że trudno było dostać się do domu. Ojciec wychodził wtedy na próg i klął, a wujek doskakiwał do niego z batem.

Późniejsze lata pamiętam lepiej. Matka szyła, a ojciec reperował buty, robił toporzyska, orczyki, grabie. Edukacja matki na krawcową była dość niezwykła. Gdy brała do roboty jakąś część garderoby, której nigdy dotąd nie szyła, prosiła, żeby jej przyniesiono coś starego jako wzór. W nocy razem z ojcem pruli ten „wzór", krajali z powierzonego materiału takie same kawałki, a potem zszywali obie sztuki. Ile zarabiali w ten sposób, nie wiem, ale chyba bardzo niewiele.

Podobną pełną ryzyka szkołę przeszedł mój ojciec, próbując sił w stolarce, ciesiółce, mularce i innych fachach przydatnych na wsi. Mimo tak rozległych zainteresowań zawodowych ojca, nie pozostawało mu nic innego do roboty, jak tylko obdzierżawianie dziurek u ubrania, które uszyła matka.

Rodzice moi chwycili się nawet na pewien czas sprzedaży tytoniu, a później założyli kramik spożywczy, były to lata „wielkiej" pomyślności w naszej rodzinie. Nawet wujek z uszanowania zaorał tego roku o dwie skiby mniej przy naszym domu. Podział pracy w rodzinie wyglądał w ten sposób, że matka szyła i prowadziła kramik. Czasem ja zostawałem w domu a matka szła na odrobek, ale to zdarzało się rzadziej. Ojciec chodził do murarki i ciesiołki. Nawet jedzenia się wówczas nie wydzielało.

Ale w 1957 roku znów zmieniło się wszystko na gorsze. Ojciec wciąż myślał o zabezpieczeniu naszej przyszłości. Trafiała się okazja nabycia 12-morgowej gospodarki, więc ojciec wziął ją natychmiast. Bo warunki były pozornie niesłychanie dogodne. Trzeba było złożyć 200 zł. kaucji i spłacić w ciągu 10—20 lat zadłużenia ciążące na tej gospodarce. Najcięższym warunkiem była spłata procentów, które niespłacane, bardzo szybko mogłyby przekroczyć same długi. A w takich wypadkach Bank Ziemi Łowickiej, dzięki któremu zostaliśmy „gospodarzami" bywał bezwzględny i przystępował do wysiedlenia. Dawny właściciel tego gospodarstwa, wysiedlony przez Bank w 1933 r. nie tylko nie mógł spłacić zaciągniętej pożyczki, ale nawet nie był w stanie podołać narastającym procentom. To więc na co się poważył mój ojciec, było jawnym szaleństwem. Przecież nie bez powodu gospodarstwo leżało odłogiem przez 4 lata, od 1933 r. Nikt się nie kwapił, nawet bogacze. Dobrze bowiem zdawali sobie sprawę, jak w gruncie rzeczy kosztowna będzie spłata tej ziemi, obciążonej długami, równającymi się dwukrotnie jej wartości. Ale ojciec liczył na czas 10—20 lat... to chyba zapracuje i wydoła. Dla kogo? Już nie dla siebie, dla dzieci. Bo też bardzo nas ojciec kochał. Od tego momentu znów się w naszym życiu zmieniło. Ojca teraz tym bardziej nie można było ujrzeć na własnym polu, chodził do innych na zarobek, ciułał grosze na spłaty procentów. W naszym gospodarstwie pracowała matka z dziećmi. Rezultat był taki, że w r. 1938 i 1939 już w lutym nie woziliśmy żyta do młyna, lecz tłukliśmy je w domu i gotowaliśmy żytnią kaszę. Potrawa ta miała swoją tradycję w rodzinie ojca, a u nas otrzymała z tej racji bardzo złożoną nazwę: „to co babcia gotowała". Mięsa nie było okrągły rok.

Miałem wtedy 13 lat i byłem najpoważniejszą siłą roboczą w gospodarstwie. Były to też najcięższe lata mojego życia. Za sprzedany domek i ogródek we wsi rodzinnej, ojciec kupił tylko konia i wóz. Zapożyczyliśmy się na kupno pługa i ziarna do siewu. Brak było najniezbędniejszych narzędzi rolniczych. Każdego roku brakowało ziarna do życia i siewu. Musieliśmy je pożyczać i oddawać je po żniwach za 1 q — 1,5 q. A żyto u nas sypało 4 q z morgi. Ziemię zastaliśmy ogromnie zaniedbaną. Zboże niejednokrotnie lepiej się opłacało skosić na paszę niż czekać aż dojrzeje ziarno.

Kariera gospodarstwa mojego ojca załamałaby się ostatecznie w Kasach Banku. Groził mu nieuchronnie w najbliższych latach przepadek kaucji i zajęcie sprzętu, które ojciec wniósł w gospodarstwo i na koniec wysiedlenie.

Lata okupacji przyniosły nowe nieszczęścia: pożar, stratę krów, kilka razy straciliśmy konia. Ojciec jednak głęboko wierzył, że pracując wytrwale, postawi gospodarkę na poziomie i spłaci długi. Do dziś nie mogę zrozumieć, skąd ten człowiek miał tyle ślepej wiary we własne siły.

Okres okupacji w jednym mógł tylko ojca podnieść na duchu. Zmalały (w stosunku do przedwojennej wartości złotego) długi w spłacie. A to, o czym przebąkiwano na wsi, że jak nadejdzie wolność dawało mu nową, choć niejasną nadzieję.

Od 1945 roku zaczęło się nowe życie. Kontraktacja buraków cukrowych (przed wojną buraki kontraktowali tylko ci, którzy mieli „wzorowe" gospodarstwa) była pierwszą dźwignią podniesienia produkcji zbożowej. Buraki dostarczały w dostatecznej ilości liści na kiszonkę, wysłodków, cukru, no i trochę pieniędzy. Resztę pieniędzy ojciec zdobywał z hodowli świń i kur. Poważny dochód dały krowy, od których mleko dostawialiśmy do mleczarni. Ojciec rzeczywiście postawił gospodarkę na należytym poziomie. Żyło wprawdzie wydaje plon 12 do 15 q z ha na naszej ziemi V kl., ale za to ojciec kontraktuje len i oleiste, a na kawałku lepszej ziemi buraki. Ma dwie krowy i jedną sztukę jałowizny. Każdego roku sprzedaje jedną sztukę bydła, 4 do 6 tuczników. Poza tym jest u nas niespotykany dotychczas nabytek: 4 owce, które stanowią dumę mojej matki i siostry. Po wojnie ojciec kupił kierat i już od 1945 roku nie różnęliśmy sieczki ręcznie. Ziemię uprawia starannie, dzięki czemu gleba utrzymuje nawet na piaskach należytą wilgotność. Nawet susza ubiegłej jesieni na polach mojego ojca nie dała się bardzo odczuć. Z obowiązków wobec państwa wywiązuje się w 100 procentach, tylko nie zawsze w pierwszym terminie, bo trudno mu dać sobie radę z młocką w okresie jesiennym, w którym każdy zagon ziemi woła o ręce do pracy. A pozo-

(Dokończenie na str. 7)

TADEUSZ PAPIER

BILANS RODZINY JAKIELÓW

JAN Jakiel opowiada, że od czasu, kiedy ojciec jego, Wincenty dokupił gdzieś między 1910 a 1914 rokiem 6 hektarów ziemi w Popielawach, zaczyna się powolny upadek ich gospodarki. W Czarnocinie dziadek Wincenty miał 5 hektarów i 30 arów, ale gdzie ziemia czarnocińska do popielawskiej! Dobra to była ziemia w Popielawach,

Stary Jakiel
Rys. St. Gierowski

urodzajna, buraczana, pszenica rosła wysoko, kłosy ciężkie i duże. Tymczasem u nich na dziadowskiej ziemi słaby lub mocniejszy szczerk, ale jak ukopać na pół metra, to „luty piach". Koniczyna nie chce róść w żaden sposób. Popielawy nęciły dziadka Wincentego. Mógł wówczas wykorzystać sytuację. Zarobił na kolei, pracował tam jako robotnik, babka była wtedy w niedalekich Biezwodach, dorobili się i postanowili umocnić.

Dokupił więc dziadek Wincenty te 6 hektarów. Rodzina rozrastała się szybko i w roku 1916 starzy Jakielowie mieli dziewięcioro dzieci. Miał się nad czym głowić dziadek Wincenty. Dzieci dorastają i trzeba myśleć zawczasu o wymianowaniu. A właściwie już trzeba wianować! Najstarszy Andrzej żeni się. Jest to pierwsze wesele w rodzinie, jednakże myśleć trzeba nie tylko o Andrzeju. Więc dziadek Wincenty rozporządza: ziemię w Popielawach oddaje Andrzejowi, lecz żeby ten podział nie krzywdził zbytnio młodszego rodzeństwa, Andrzej zobowiązuje się zwrócić ojcu 700 rubli (500 zaraz przy rejencie, 200 w dalszych ratach). Wincenty zapłacił za „popielawy" 1.300 rubli.

W Czarnocinie ziemia przechodziła z ojca na syna. Wincenty zamyśla, że ziemię dziadowską przekaże synowi Janowi. Jan tedy, po dziadku Wincentym, będzie kolejnym właścicielem działki w Czarnocinie. Ale zanim to nastąpi upłyną jeszcze długie lata. Nad światem przejdzie straszna burza wojenna, przez wieś przejdą wojska carskie i niemieckie, trzeba będzie ukrywać się przed brankami na roboty, kryć swoje zapasy gospodarcze przed rabunkiem. Czarnocin leży niedaleko Łodzi, wielu jest takich, którzy pracują w fabrykach łódzkich. Wincenty jest analfabetą, nie odczyta nigdy drukowanej odezwy SDKPiL, która z rąk robotnika łódzkiego dotarła na wieś: „Klasa robotnicza Polski z entuzjazmem wita zwycięstwo Wielkiej Rewolucji Rosyjskiej... Wspólnie ponosząc ofiary z klasą robotniczą Rosji w walce łącznej i solidarnej o wielki cel obalenia caratu, jednoczy się dziś proletariat Polski z bratnim zwycięstwem proletariatu Rosji myślą, dążeniem i czynem..."

Ale Wincenty jest daleki od tych spraw, i nurt rewolucyjny, który przechodzi przez wieś, nie poruszy go mocniej. Dziadek żyje swoimi troskami, a to, co się dzieje we świecie... „będzie jak będzie". Dobrze, że załatwiło się syna Andrzeja, a pieniądze uzyskane od niego przekazało się córce Pelagii, „która jest w Remszewicach". Wincenty jest jeszcze w pełni sił, ma 51 lat i z pewną nadzieją spogląda w przyszłość. A może się poprawi na świecie? Dochodzą wieści o reformie rolnej. Czas by był najwyższy, w okolicy są wielkie obszary pańskiej ziemi, otaczającej jakby kleszczami chłopskie działki. Czy miał apetyt Wincenty na tę ziemię?

Dziadek myślał o parcelacji, o reformie. Jednakże nie myślał w ten sposób, jak będzie patrzał na tę sprawę, prawie trzydzieści lat później, syn jego Jan. „Kiedy nadeszła Polska" Jan kończył 16 lat, miał już poza sobą trzy oddziały szkoły powszechnej, więcej nie ukończył już nigdy, i nie miał żadnego pojęcia o świecie. W niedalekiej Łodzi robotnicy organizowali komórki KPRP, powstają Rady Delegatów Robotniczych i niektórzy chłopi na wsi odgrażają się panom. Z trudem chłopak mógł odczytać ojcu podsuniętą ulotkę: „Zadania proletariackiej rewolucji polskiej są te same, co zadania rewolucji proletariackiej w innych krajach. Cała władza musi przejść w ręce proletariatu miast i wsi, zorganizowanego w Radach Delegatów Robotniczych". Dziadek zmiął ulotkę. Nie chciał iść „przeciwko sile", a najbliższe czasy przyniosły mu potwierdzenie jego „przezorności". Uchwalono przecie konstytucję, w której głoszono swobody obywatelskie i wolność przekonań, ale tysiące komunistów szło do więzienia. Uchwalono zapowiedź reformy rolnej, a w istocie „było to oszukaństwo". Przyszedł do władzy chłop Witos, miało być już dobrze, a cena chleba skoczyła z 2.900 marek do 16.000 marek. Więc jakże się narywać z motyką na słońce? Odległe lata rublowe mogły się wydawać istotnie słoneczne. Troska o przyszłość poryła czoło dziadka głębokimi bruzdami.

W tym okresie trzy razy szedł kondukt pogrzebowy z domu dziadka na cmentarz. Umarło mu troje dzieci. Żałoba żałobą, ale z drugiej strony łatwiejszy rachunek. Zimą 1927 roku, gdzieś w lutym, Wincenty wyprawia wesele. Żeni się przyszły dziedzic gospodarki Jan ze Stanisławą Kowalczyk z Woli Kutowej. Prawie jednocześnie w Woli Kutowej odbywa się wesele Jana Kowalczyka ze Stanisławą Jakiel: Jan ze Stanisławą i Stanisława z Janem. Jak miany, to miany! Tak się złożyło, że dziadek nie potrzebował ani odpisywać, ani spłacać córce Stanisławie. Była mroźna zima, śnieg, zaspy, w małym domu poniżej kościoła, szalała uciecha i radość. Wincenty podpił sobie, wychodził na dwór, wciągał chłodne, rzeźwiące powietrze... będzie może jeszcze jaśniej. Dziadek miał wtedy 60 lat, najwyższy czas na odpoczynek. Co prawda trochę niepokojące jest to dożywocie, czasami po zapisie syn wygoni z domu, „lub kijem przyłoży". Z kolei tedy Jan ujął rządy w swoje ręce.

Znowu trzeba było zacząć od spłat. W najbliższych latach Jan spłaca: bratu Antoniemu 1.500 zł., Stefanowi, który zginął w Niemczech podczas II wojny, 500 zł. (gdyby Stefan żył Jan musiałby mu dopłacić jeszcze 1.000 zł.). Najstarszy Andrzej i siostra Pelagia zostali już uprzednio załatwieni ziemią w Popielawach. Stanisława zaś poszła „na miany". Tak więc gospodarka w Czarnocinie pozostała w jednym ręku. Jan musiał często jeździć do Łodzi za zarobkami lub handlem, zapożyczał się i spłacał.

Spłaty szły ciężko. „Ale jednego roku, to mnie takie szczęście podleciało. Sprzedałem krowę za 330 złotych, sprzedałem 3 świnie za 300 złotych, sprzedałem byczka za 180 zł. Razem wyniosło 810 zł. To było w roku 1929. Jeszcze kryzysu nie było. Ale później podczas kryzysu, jak jeździli po wsi komorniki, sekwestratorzy, to nic nie mogłem zrobić. W 1928 roku, to żyto było jeszcze 50 zł. Pamiętam jak dzisiaj. A potem jak się zadłużyłem! Spłaty nie skończyłem, bo przecież najmłodszemu bratu, którego hitlerowcy złapali, winien byłem jeszcze 1.000 złotych".

Jan przed wojną nie czytał ani gazet, ani książek. Razem z ojcem Wincentym myśleli wyłącznie o ciążących spłatach i utrzymaniu gospodarki. Jakie perspektywy otwierały się przed średniorolnym chłopem Jakielem? „Trzeba by teraz tak: zliczyć wszystkie dni pracy, wszystko to, co u siebie i u ludzi, a potem zobaczyć, co z tego miałem". Niewiele w każdym razie. Jednoizbowy dom kryty strzechą, do tej jedynej izby, kuchni trzeba podczas zimy, dostawiać piecyk żelazny, bo „kuchnia słabo grzeje". Na piecyku można też co ugotować. W izbie stały dwa łóżka drewniane, stół, szafa, na ścianie z boku patronująca pasyjka „i tak się wlecze i wlecze". Gdzieś w grudniu 1936 roku spaliła mu się stodoła z oborą. Zapaliło się u sąsiada Piotra Ceranki, ogień przerzucił się do Jakielów. Znowu wydatki na odbudowę, a szło ciężko. Dobrze, że znowu ta Łódź z dymiącymi kominami jest blisko, jakoś łatwiej o zarobek. Nawet samemu nie dojeść a sprzedać coś. W następnym roku znowu nowy wydatek. „Latem było, po robocie wody się napiłem i koniec". Przyszło zapalenie płuc, wyjazdy do lekarza w Tuszynku, nowe ograniczenia. Skąpić grosz do grosza, bo jakaż przyszłość? „Tyle, co z dnia na dzień człowiek żyje. Żeby odpocząć, poczytać, gdzie tam, ani mowy o tym. Bo to tak: człowiek zasieje, ano rośnie. Ale jak urośnie, to trzeba na podatek, na jakąś płużynę, na buty... a dzieci?"

Jan we wspomnieniach przebywa śpiesznie okresy, nad którymi powinien zatrzymać się dłużej. Chociażby lata wojny z Hitlerem i okupacja, przed którą jeszcze w 38 roku KPP przestrzegała, że „każdy krok pozostawania u władzy tej awanturniczej bandy targowiczan wydaje nasz kraj, naszą niepodległość pod kuratelę odwiecznych wrogów polski — junkiersko-imperialistycznej kliki hitlerowskiej". Podczas wojny ginie brat Stefan. Gospodarstwo Jana trzeszczy. Jan boi się bankructwa. Spójrzcie teraz, co się dzieje po wojnie. Pojawia się na widowni zdrajca Mikołajczyk, ale Jan pamięta, że już raz chłopi sparzyli się na Witosie. Zdrajca ucieka, a gospodarka Jana zaczyna nabierać rumieńców życia. Bo to i pomoc ze strony państwa, mniejsze podatki, pożyczki i najważniejszy znowu rachunek — z dziećmi.

Najstarszy syn Jana, Zdzisław (kończy w tym roku w czerwcu 24 lata) ożenił się w Zamościu, gminy Będków. Zdzisław skończył 7 oddziałów. Jan dał mu dotychczas dwie krowy, 174.000 zł. (przed wymianą), kilka owiec. „Zdzisław ożenił się na gospodarstwo. Ale jest tam jednym ze spadkobierców, tyle jego własności, że żona ma trzy morgi. Drugi syn, Józef jest w wojsku, skończył szkołę podoficerską, ma stopień kaprala, dobrze mu idzie". Jan choć przewiduje, że ten syn wróci na gospodarstwo, ale „bo ja wiem, jaki teraz umysł człowieka jest?" Trzeci syn, najmłodszy Edward nie wchodzi w ogóle w rachubę, jako przyszły dziedzic gospodarki. Jest teraz w III klasie Liceum Rolniczego w Czarnocinie. Z Czarnocina znajduje się w tym liceum 30 młodych ludzi na ogólną liczbę 137 studiujących, pochodzących z okolicznych wsi. Józef za rok pójdzie dalej, na praktykę rolniczą, a ma możliwości studiów na uniwersytecie. „Nawet dobrze się uczy. Byłem na zebraniu, mówili o nim. Zawsze ojca cieszy, jak dziecko chwalą, bo jak ganią, to nawet nie chce się przyjść do domu". Ten ma przyszłość zapewnioną! A Józef? Też nie wiadomo, czy zechce wrócić na gospo-

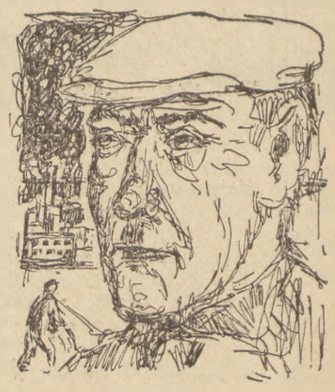

Jan Jakiel
Rys. St. Gierowski

darstwo. Dotychczas niewyraźnie mówi o tym, ma jakieś inne widoki. Jan ma poważne zmartwienie. Liczy jeszcze na to, że może Zdzisław wróci z Zamościa do Czarnocina. „Tak się mówi, jak dzisiaj jest, może spółdzielnia produkcyjna wyjdzie i pójdzie się do spółdzielni. Zgryzu nie ma. A co by było przed wojną? Nieliczna rodzina, trzech synów, lecz jak ich bym wtedy rozdzielił? A dzisiaj? Anim się obejrzał i zostałem na gospodarce sam. Ojca pochowałem przed trzema laty, umarł w 82 roku życia, jeszcze doczekał się tych czasów, o których mówili po pierwszej wojnie w ulotkach.

W bilansach gospodarczych, Jakiel nie pisze już, ile tysięcy dać temu lub owemu dziecku, lecz notuje:

W roku 1950 sprzedał państwu ze swego pięciohektarowego gospodarstwa 22,5 m. kartofli, 4 metry żyta. Zakontraktował 20 arów lnu. „Chociaż ze lnem, to jeszcze sprawa niewyjaśniona i było zmartwienie. Zakontraktowałem w słomie, a spółdzielnia chciała przy odbiorze, żebym oddał włókno. Przywiozłem do domu. Trochę żona zmiędliła, reszta leży". Sprzedał 4 świnie (2 zakontraktowane i 2 „wolnorynkowe" — oczywiście wszystkie do spółdzielni). W 1951 roku sprzedał w ramach skupu 5 metrów zboża (wyznaczone miał 4,89), kartofli 12,5 i 1 metr zostawił według zarządzenia na wiosnę. Oprócz tego do liceum rolniczego na bursę zawiózł gratisowo 2 m. ziemniaków. Sprzedał państwu 3 świnie, krowę o wadze 510 kg, 2 cielęta. Na 1952 rok zakontraktował dotychczas 2 świnie, ma zamiar oczywiście zakontraktować więcej.

„Znacie normy, co otrzymałem za sprzedaż żywca i płodów. Jestem wynagrodzony w zupełności". Jakiel nie mówi o tym, że kraj wchodzi w III rok Planu Sześcioletniego, nie wyliczyłby może wszystkich obiektów przemysłowych, nie zna nowych miast, wyrosłych na dawnych ugorach i błoniach, wylicza tylko swoje dochody, przedstawia sytuację gospodarczą „taka, jaka dzisiaj jest". Jan ma teraz: 1 konia, 3 krowy, świnie, 2 owce duże i 4 małe (jedną od ZSCh na spłacenie), korzysta z siewnika SOM-u, posiada skibowiec, młocarnię, kierat, Pożyczkę Narodową wpłacił jednorazowo 180 zł. zamiast 160, podatek uiścił w 100 proc. Otrzymał dyplomy uznania od Wojewódzkiej Rady Narodowej i Gminnej Rady Narodowej. Po ostatnim skupie zboża wstąpił do PZPR.

Ale jeszcze wielu rzeczy nie powiedział Jan Jakiel, a które wypowie, gdy jeszcze więcej poczyta książek, które nadchodzą do biblioteki gminnej, i które syn przynosi ze szkoły, gdy zetrze się w starciach z wrogiem klasowym, który jeszcze nie rezygnuje z walki, ale przeciwko któremu chłop ma pomoc w robotniku, pomoc państwa ludowego, tworzącego swoją pierwszą Konstytucję dla ludzi pracy.

Tadeusz Papier

EDMUND SAS

Rozmowa z ojcem

BRACIA opowiadali mi, że tego samego dnia, w którym przyszedłem na świat, powiększył się również ubogi inwentarz naszego lichego gospodarstwa o jedno... cielę. Byłem trzecim z kolei synem, sióstr nie mam. Moje przyjście na świat nie sprawiło ojcu specjalnej radości. Wolałby raczej dwa cielęta na rok a jedno dziecko na lat pięć.

Mój stary, dobry ojciec. Sam on według rodzinnej numeracji, był siódmym z kolei synem, po nim jeszcze dwójka braci i jeszcze dwie siostry. Nic więc dziwnego, że na „swój" chleb poszedł już w ósmym roku życia. Najpierw na... trzecią wieś do kumotrów. Miał otrzymać lepszą służbę i opiekę. Ale uciekł po miesiącu. Zbili go do krwi kumotrowie za wykradanie świniom z koryta kartofli, co czynił z prostego i gwałtownego głodu.

Zapadło więc postanowienie, że ojciec pojedzie do Łodzi szukać szczęścia. Zaczął od terminu u rymarza Mayera. Sypiał pod warsztatem razem z psem pryncypała, ale chleba, kartofli i kaszanki już mu nie brakowało. Terminu ojciec nie skończył. Za długo mi było — opowiadał — noszenia drzewa i skrobania kartofli. Poszedł do fabryki — widzewskiej „niciarki" pana Kunitzera, jako pomocnik rymarza. Pracował potem u Rosenblatta, Altarta i Runeau, Gayera, Schweikerta. Ale te wędrówki z fabryki do fabryki nie miały charakteru krajoznawczych wycieczek. Ojciec mój poznawał kapitalistyczne prawo do pracy.

W międzyczasie założył rodzinę — przybywało dzieci. Kochał nas wszystkich bardzo, bardzo też chciał ułożyć nam znośne życie. Najstarszy brat był bardzo zdolny, chciał się uczyć. Kosztem ogromnych wysiłków i wielu wyrzeczeń ukończył aż średnią szkołę. Marzył o pracy lekarza. I wtedy nadszedł pierwszy trudny moment w życiu naszej rodziny. Ojciec musiał odmówić mu dalszej pomocy. Brat nie został lekarzem, chociaż konstytucyjnie miał zagwarantowane prawo do nauki. Cóż kiedy i konstytucja i nauka nie były... „bezpłatne".

W miarę jak biegły lata, sytuacja nasza pogarszała się. Średniemu bratu wypadło zaczynać gimnazjum w latach 1930—31. Poszedł w rezultacie do terminu na tapicera. Ale nie zdobył tego fachu — zachorował ciężko na płuca, nie było go czym leczyć. Konstytucja nie wspominała ani słowem o opiece lekarskiej nad robotnikami.

Co do mnie — jestem znacznie młodszy od braci, średnią szkołę skończyłem w czasie okupacji na tajnych kompletach, już mocno po dwudziestce.

Matka wypytywała mnie nieraz, czym chcę zostać. Sakramentalne pytanie stawiane dziecku. Ojciec zachęcał do fachu. „Z fachem zawsze złapiesz kawałek roboty" — mawiał. Mnie się marzyło — pisanie. Chciałem po prostu pisywać do gazet, ale się tymi marzeniami głośno nie chwaliłem, wykazując oficjalnie duże zainteresowanie dla fachu mego ojca.

Niedawno temu, dokładnie 27 stycznia przyszedł do mnie mój drogi ojciec. Projekt Konstytucji przeczytaliśmy wspólnie. Wnukowie ojca — moi synowie — wypełniali pokój radosnym krzykiem. Ojciec łatwo się wzrusza, zwłaszcza dzieciakami. Nie wiadomo kiedy pojawiła mu się w oczach łezka.

— No Mundek — twoi zostaną teraz kim naprawdę chcą, nie to co ja, nie to co ty.

Kiedy doszedł do 62 artykułu przerwałem mu na chwilę.

— Wie ojciec — ja biorę niewielki, ale wyraźny udział, twórczy udział w naszym życiu kulturalnym.

I pokazałem mu egzemplarz tygodnika „Wieś" z moim reportażem. Ojca na moment zatkało.

— Jakto, piszesz? Przecież jesteś w innym zawodzie, przy instalacjach domowych. Zdun jesteś, kaflarz, kominiarz, hydraulik a nie pisarz.

— Właśnie dlatego, że mam fach, do którego mnie namawiałeś — mogę pisać.

— Nie wmawiaj w starego, że przy pomocy rusztów od pieca pisarzem cię zrobił.

Twarda sztuka ten mój ojciec. Musiałem mu długo wykładać, jaką wielką bazę doświadczeń społecznych uzyskuję w mojej pracy, ilu rozmaitych ludzi obsługują nasze brygady instalacyjne, że mam do czynienia nie z martwymi piecami i kominami, ale z ludźmi, którym remontujemy stare i wyposażamy nowe mieszkania.

— No jest o czym pisać — zgodził się — ludziom się teraz życie szybko zmienia. A będziesz to tę robotę dalej ciągnął?

— Jeżeli tylko zdolności stanie i potrafię je rozwinąć — będę pisał. Czytaj ojciec Konstytucję, innych przeszkód być nie może.

— Pisarza, żem w rodzinie nie zaplanował, ale dobrze, że jest fachowiec, któremu i pióro nie obce.

Ojciec schował wolno egzemplarz projektu Konstytucji i powiedział odchodząc:

— Trza włożyć do rodzinnych pamiątek, bo się jej słowa na naszej familii sprawdzają.

Edmund Sas

ANDRZEJ SMUGA

NA PRZYKŁADZIE „ZAŁOGI"

(Artykuł dyskusyjny)

PRZED rokiem toczyła się na łamach „Sztandaru Młodych" długa i wyczerpująca dyskusja nad scenariuszem filmu młodzieżowego „Załoga"*). W dyskusji tej wypowiadali się krytycy filmowi, kierownictwo i młodzież Szkoły Morskiej w Szczecinie, działacze młodzieżowi i inni. Po raz pierwszy w dziejach naszej kinematografii szerokie rzesze widzów kinowych otrzymały możność zabrania głosu w sprawie zamierzeń twórczych realizatorów filmu, wyrażenia swojej opinii, wskazania na zalety i wady przyszłego dzieła. Było to zjawisko ze wszech miar dodatnie, świadczące o rosnącej aktywności naszej nowej widowni, o jej rosnącym wyrobieniu ideologicznym i artystycznym, o stałym podnoszeniu się poziomu kulturalnego naszego społeczeństwa. Ze względu na temat, szczególnie cenne były wypowiedzi młodzieży. Film miał przecież opowiadać o jej życiu, o troskach i radościach nowego pokolenia młodych budowniczych socjalizmu, dla nich też miał być w pierwszym rzędzie przeznaczony.

Foto Film Polski

Dziś, gdy „Załoga" weszła już na ekrany naszych kin, warto zastanowić się, czy i w jakim stopniu zarzuty sformułowane w toku dyskusji zostały przez realizatorów uwzględnione, dopomogły im w pracy, dopomogły przezwyciężyć błędną dramaturgicznie i ideologicznie koncepcję scenariusza? Warto się zastanowić, czy wysiłek włożony w zorganizowanie i przeprowadzenie dyskusji nie poszedł na marne?

Aby odpowiedzieć na te pytania, przypomnijmy niektóre wypowiedzi z dyskusji i porównajmy je z gotowym dziełem. Porównanie takie przyda się na pewno zarówno naszej publiczności, jak i samym realizatorom.

Podsumowując dyskusję w Nr. 91 „Sztandaru Młodych" wiceminister Kultury i Sztuki Włodzimierz Sokorski pisał: „Zamiast socjalistycznych konfliktów, wyrastających z istotnych przejawów naszego życia, otrzymaliśmy dobrze nam znany schemat pozytywnego bohatera mieszczańskiej młodzieży. Wódka, bumelanctwo, oszustwo, cynizm i „zryw bohaterski" w chwili niebezpieczeństwa. No i oczywiście happy end z nawróceniem". Brak w scenariuszu „socjalistycznych konfliktów wyrosłych z istotnych przejawów naszego życia" wypłynął z braku znajomości życia naszej młodzieży, z błędnego podejścia do zagadnienia walki klasowej i roli organizacji ZMP. Oto co na ten temat pisali dyskutanci:

„Spotykamy w „Załodze" te same błędy, które możemy wytknąć „Pierwszemu Startowi", do których należy przede wszystkim pokazywanie walki klasowej na przykładzie kilku uproszczonych, schematycznych typów, znów widzimy stanowczy niedowład w pracy organizacji ZMP-owskiej. Wydaje mi się, że zawsze gdy koło ZMP i jego praca wychowawcza, jego walka z wrogiem, postawione będzie na marginesie, jak to ma miejsce w „Załodze", zawsze wtedy obraz środowiska młodzieżowego będzie fałszywy. (K. T. Toeplitz — nr. 40 „Sztandaru Młodych").

„Najwięcej nas boli to — pisał w nr. 53 uczeń Szkoły Morskiej Zdzisław Mackiewicz — że całkiem błędnie została wykazana praca ZMP. Organizacja na terenie szkoły została przedstawiona w świetle jakiegoś bractwa wzajemnej adoracji, a nie bojowego i przodującego oddziału młodzieży".

W wypowiedziach tych streszczają się główne zarzuty wskazujące na najbardziej zasadniczy błąd ideologiczny scenariusza, mianowicie: Klasowe widzenie rzeczywistości nie dość stanowczo ukształtowało fabułę scenariusza. To właśnie zadecydowało o braku nowych, socjalistycznych konfliktów, o postawieniu w centrum filmu moralistycznie ujętej historii „nawrócenia" bohatera mieszczańskiego, o marginesowym potraktowaniu zagadnienia walki klasowej i roli organizacji ZMP.

Zobaczmy teraz, jak zagadnienia te zostały przedstawione w gotowym filmie.

Główną postacią filmu pozostał Antek Bugaj — chłopak, który nie chce się uczyć, bumeluje, korzysta z usług tzw. „murzyna" Józka Wietechy, wymyka się ze szkoły na całonocne libacje, okłamuje wszystkich dookoła, w krytycznym momencie egzaminów popełnia oszustwo (oszustwem jest zresztą również korzystanie z pracy Józka) — i dopiero na skutek niefortunnego dlań zbiegu okoliczności (służba w kabinie nawigacyjnej w czasie mgły, brak możliwości skorzystania z „pomocy" Wietechy, co powoduje złe wyznaczenie kursu statku) przyznaje się do popełnionych przestępstw. Tak więc w osobie Antka pozostał reprezentant mieszczańskiej młodzieży. Jest „wódka, bumelanctwo, oszustwo, cynizm". Co gorsza postać ta nie ma w filmie dostatecznie mocnej przeciwwagi, którą w zamierzeniach realizatorów miał stanowić Bronek Kruk — przewodniczący ZMP. W rzeczywistości Kruk, nieobdarzony żadną samodzielną funkcją dramaturgiczną, jest postacią drugoplanową i nie jest w stanie w tym stopniu zaabsorbować uwagi widza co Antek. Kruk pojawia się na ekranie wtedy, gdy jest to potrzebne dla rozwoju lub skomentowania sprawy Antka. Bugaj obok drugiej, negatywnej postaci, Józwa Wietechy, dominuje w filmie, a jednocześnie jest nosicielem głównego konfliktu. Na czym ten konflikt polega?

Bumelant Antek nie rozumie potrzeby wypełniania swoich obowiązków, sprawa nowej moralności, nowego stosunku do nauki i pracy jest mu zupełnie obca, z ironią patrzy na kolektyw, który kieruje się innymi zasadami niż on. Zdawałoby się, że w tej sytuacji film pokaże nam walkę kolektywu o nową moralność prowadzoną z pozycji klasowych. W rzeczywistości jednak całe zagadnienie zostaje zwekslowane na tory pseudo - uczuciowych, psychologicznych powikłań. Siła konfliktu przejawia się nie w walce kolektywu z postawą Antka, ale w jego przeżyciach, których źródłem są względy ambicjonalno uczuciowe. Antek bumeluje i popełnia oszustwa z całą niefrasobliwością, zebranie ZMP-owskie, które widzimy na początku filmu, nie wywiera na niego żadnego wpływu, Antek oszukuje dalej, dopiero rozmowa z Kaperą, który odkrywa jego nieuctwo, staje się pierwszym przeżyciem. Ale Antek jest na tyle zepsuty, że względy ambicjonalne i pomoc Kapery pchają go do nowego oszustwa. I znowu następuje okres beztroski, przerwany na chwilę zajściem z Wietechą, który chce go zdemaskować. Obaj jednak boją się konsekwencji popełnianych na spółkę oszustw, więc ze strachu kryją siebie nawzajem i obaj przeżywają swój „dramat wewnętrzny" na statku. Przez cały ten czas kolektyw prawie nie istnieje, a przynajmniej nie ma żadnego wpływu na rozwój konfliktu. Co gorsza rzuca się w oczy zupełny brak klasowej motywacji postępowania Antka (film nie precyzuje nawet bliżej jego pochodzenia społecznego). Główny konflikt filmu, walka o nowy stosunek do nauki i pracy rozgrywa się nie w ramach antagonizmu świadomej klasowo postawy kolektywu wobec obcej postawy wroga klasowego, ale w płaszczyźnie wewnętrznych przeżyć bliżej nieokreślonego mieszczucha.

Z zagadnieniem tym wiąże się bezpośrednio sprawa przedstawienia w filmie organizacji ZMP, która niestety, nie reprezentuje „bojowego i przodującego oddziału młodzieży". ZMP w filmie jest właściwie zupełnie bezsilny i bezradny. Przez dwa lata (tyle czasu trwa szkolenie w PSM) Antek bumeluje i prowadzi swój oszukańczy proceder i organizacja na to nie reaguje („zawsze im uchodzi na sucho" mówią koledzy o Antku i Józku), a gdy już wreszcie sprawa Antka staje na kolektywie, to nie rozpatruje się jej z punktu widzenia klasowego. Antek cieszy się zupełną bezkarnością, co więcej kolektyw kryje niejednokrotnie jego chuligańskie wystąpienia (np. sprawa bójki na statku podczas służby). Organizacja wykazuje zupełny brak czujności i inicjatywy również w innych sprawach (np. pomoc w nauce Brzozowskiemu, zachowanie się Kopery). Niekoniecznie musimy w filmie pokazywać organizację pracującą bezbłędnie, ale to co pokazano nam w „Załodze", jest zupełnie niezgodne z rzeczywistością. Cóż to za koło, które przez dwa lata nie zorientowało się w swoim terenie i nie wpłynęło na bieg wypadków, które nie potrafi wychować jednostek zdrowych (Wietecha), a zdemaskować szkodnika (Bugaj), które w swojej działalności zupełnie zapomniało o czujności i walce klasowej?

Błędne ustawienie roli organizacji ZMP doprowadziło do całkowitego zamazania sprawy walki klasowej w filmie. Brak klasowej motywacji postępowania Antka i niesprecyzowanie jego oblicza ideowo-politycznego sugeruje, że w kolektywie „Załogi" nie ma wroga klasowego, że na terenie młodzieżowym walka klasowa już wygasła. Podobnie przedstawia się sprawa kapitana Kapery, w którym możemy wprawdzie dojrzeć dobrze zamaskowanego wroga naszego ustroju, ale którego postępowanie realizatorzy starają się motywować przede wszystkim względami ambicjonalno-uczuciowymi. Ucieczka przed jasnym, zdecydowanym postawieniem sprawy walki klasowej doprowadziła do urwania głównego wątku fabularnego Antka, Józka i Kapery. Rehabilitacja Antka, „zryw bohaterski" w chwili niebezpieczeństwa i happy end z nawróceniem w pierwszej wersji scenariuszy były akcentem zdecydowanie fałszywym. Realizatorzy postanowili to usunąć, nie dali jednak w zamian żadnego innego rozwiązania, pozostawili próżnię. Jest to jaskrawy dowód zupełnej bezradności realizatorów, którzy na skutek fałszywego, nieklasowego ustawienia tematu znaleźli się w sytuacji bez wyjścia.

Okazuje się, że zarzuty wysunięte w dyskusji były słuszne. Godziły one nie w poszczególne detale i epizody, ale w zasadniczą koncepcję filmu, która niestety pozostała niezmieniona i wniosła do gotowego filmu cały balast tak ostro zwalczanych w dyskusji błędów ideologicznych.

Nie lepiej przedstawia się sprawa budowy dramaturgicznej filmu. I na tym odcinku dyskusja dostarczyła wiele ciekawego materiału, z którego realizatorzy nie skorzystali.

W nr 40 „Sztandaru Młodych" K. T. Toeplitz pisał: „Załoga" w istocie obok wad ideologicznych ma poważne błędy dramaturgiczne". I dalej: „Na dobrą sprawę bowiem cały ładunek dramatyczny „Załogi" zostaje wyczerpany już w momencie poprzedzającym bezpośrednio wyjazd absolwentów Szkoły Morskiej na rejs. Dalszy ciąg filmu, dla którego pretekstem staje się niczym nie umotywowane postępowanie Józka, który w ostatniej chwili cofa się przed zdemaskowaniem Antka (odwołanie go na rozmowę przez ojca nie może być traktowane jako poważny powód), jest wyraźnie błędny i koncentruje w sobie największe usterki „Załogi".

Foto Film Polski

Gotowy film potwierdził słuszność tego zarzutu: akcja filmu rwie się, nie wzbudza dostatecznego zainteresowania widza. O ile na terenie szkoły bumelanctwo Antka i jego oszustwa układają się w dość logiczny, konsekwentny dramaturgicznie ciąg wydarzeń, o tyle podczas rejsu sytuacja staje się coraz bardziej naciągana, nieprawdopodobna i rozpada się na luźno tylko związane ze sobą epizody. Na skutek wprowadzenia całego szeregu scen i epizodów o charakterze reportażowym, nie leżących na linii rozwoju fabuły, napięcie dramaturgiczne podczas rejsu opada i dopiero przy końcu filmu, w momencie wypadku z Bugajem i wejścia statku w mgłę, w sposób gwałtowny, nieprzygotowany dramaturgicznie osiąga swoje pierwotne nasilenie.

Realizatorzy pozostawiając nienaruszoną koncepcję dramaturgiczną pierwszej wersji scenariusza, nie znaleźli dodatkowych momentów na jej umotywowanie. Zachowanie się Józka, który w ostatniej chwili cofa się przed zdemaskowaniem Antka, jakkolwiek sytuacyjnie zostało nieco zmienione (Józek wchodząc do kajuty kapitana zastaje tam ojca), nie ma jednak poważnego umotywowania. W konsekwencji cały rysunek psychologiczny sylwetki Józka i jego dalsze zachowanie się na statku, to jeden wielki ciąg nieporozumień i zafałszowań.

Niewybaczalnym błędem dramaturgicznym jest również urwanie głównego wątku w punkcie kulminacyjnym i zakończenie filmu piękną i słuszną ideologicznie, ale nieprzygotowaną dramaturgicznie sceną spotkania „Daru Pomorza" z „Batorym". Epizod ten nie wiąże się z rozwojem fabuły, pojawia się niespodziewanie jak „deus ex machina", aby ratować ogólny „wydźwięk".

Skoro już mówimy o dramaturgii, warto przypomnieć, że dyskusja jasno wykazywała nierealność poszczególnych sytuacji i fałszywość zmyślonego, nieopartego na realiach konfliktu głównego. Oto co na ten temat pisali dyskutanci:

„Błędem jest także to, że Antek leniący się przez dwa lata (autor zapomniał o współzawodnictwie w nauce) zdaje egzamin, kończy z pierwszą lokatą dzięki profesorowi, który daje mu specjalnie przygotowane dla niego pytania. Przy egzaminie pytania losuje się". I dalej: „Nigdy tak nie było, nigdy tak nie będzie, żeby absolwenci szkoły prowadzili statek w takich trudnych warunkach jak mgła". (Piwiński Andrzej — uczeń PSM — nr 53 „Sztandar Młodych").

A oto inna wypowiedź:

„Niektóre urywki scenariusza wzbudziły u nas burzę śmiechu, bo trudno brać poważnie takie sceny, jak przywitanie uczniów powracających z rejsu (obwieszeni ananasami), albo spuszczanie nóg za burtę, względnie, żeby uczeń nie mający pojęcia o wykreślaniu kursu zdał egzamin na I-szą lokatę (gdzież byli koledzy, świadomi ZMP-owcy, gdzież sama organizacja)". (Danuta Kobylińska — uczennica PSM — nr 53 „Sztandar Młodych").

Realizatorzy pod wpływem dyskusji usunęli cały szereg nierealnych scen, jak chociażby ten powrót z rejsu, czy spuszczanie nóg za burtę, zmienili detale i szczegóły. Natomiast nierealne, nieprawdziwe sytuacje, które podważały i burzyły zasadniczą koncepcję filmu (sprawa egzaminu i pierwszej lokaty Antka, oraz prowadzenie statku podczas mgły) pozostały nienaruszone. Artysta ma prawo do pewnych dowolności i wyolbrzymiania faktów, nie ma jednak prawa do budowania konfliktu na wydarzeniach nierealnych, nieprawdziwych.

Reasumując możemy stwierdzić, że główne błędy i zafałszowania „Załogi" tkwiące w pierwszej wersji scenariusza nie zostały w toku realizacji usunięte. Wydawałoby się, że wysiłek włożony w zorganizowanie i przeprowadzenie dyskusji poszedł na marne. W rzeczywistości jest jednak inaczej. Na przykładzie „Załogi" i doświadczeniach dyskusji powinniśmy i możemy wiele się nauczyć.

Dyskusja udowodniła, że bez klasowego podejścia do tematu, bez doskonałej znajomości życia i jego problemów nie może powstać pełnowartościowy utwór artystyczny, że pisanie scenariusza „przy biurku" jest karygodnym lekceważeniem obowiązków artysty.

Dyskusja udowodniła, że nasz widz kinowy staje się aktywną, świadomą siłą, zdolną do współdziałania na odcinku twórczości artystycznej, że jego słusznej i rzeczowej krytyki nie wolno lekceważyć.

Przykład „Załogi" wykazał, że trudne i odpowiedzialne zadanie ciąży na twórcach filmu współczesnego. Aby im dopomóc, dyskusje nad scenariuszami winny być organizowane przed oddaniem filmu do realizacji.

Przykład „Załogi" postawił w jaskrawym świetle niedowład naszej kinematografii na odcinku filmu młodzieżowego. „Załoga" w stosunku do „Pierwszego Startu" jest nie krokiem naprzód, a krokiem wstecz. Warto się nad tym zastanowić, warto wyciągnąć z tego wnioski. Nie wystarczy mieć dobrą wolę zrealizowania filmu o młodzieży, trzeba młodzież znać i kochać, trzeba żyć jej życiem. Bez udziału przodującego politycznie aktywu młodzieżowego, bez drapieżnej, bojowej, młodzieńczej pasji samych twórców nie może powstać film młodzieżowy, nie może powstać prawidłowy obraz życia nowego pokolenia — szczęśliwego i zwycięskiego.

Andrzej Smuga

*) „Załoga". Scenariusz: Jan Rojewski. Reżyseria: Jan Fethke. Zdjęcia: Adolf Forbert. Muzyka: Witold Krzemieński. Produkcja: Wytwórnia Filmów Fabularnych w Łodzi 1951 r.

Feliksa Grzegorczyk, sołtys gromady Wilcze Tułowskie w pow. Sochaczew, odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi. Foto—CAF

STANISŁAW SIEKIERSKI

Dodatki literacko-kulturalne w gazetach

W każdym naszym mieście wojewódzkim wychodzi dziennik, nieraz nawet kilka. Przy tych dziennikach ukazują się niedzielne dodatki, najczęściej społeczno - literackie. Jeżeli zważyć na oczywisty fakt, iż tygodniki literackie nie docierają do masowego czytelnika, natomiast odbiorcą dziennika jest właśnie ów masowy czytelnik, to znaczenie dodatków społeczno - literackich przy prasie codziennej, jako narzędzi upowszechniania wiedzy o kulturze, staje się szczególnie ważne i odpowiedzialne.

Starszy, po części i młodszy, czytelnik posiada wiedzę o Prusie, Sienkiewiczu, Konopnickiej i innych ze szkoły. Źródło wiedzy o Czeszce, Koprowskim, Marcu, Jarochowskiej cóż powinno stanowić jeżeli nie dodatek kulturalny dziennika?

W praktyce okazuje się jednak, że tylko kilka dodatków pisze w ogóle o książkach. Najpoważniejsze osiągnięcia na tym odcinku — jak się wydaje — posiada „Życie i kultura", dodatek „Głosu Szczecińskiego", redagowany przez J. Andrzejewskiego. W dziale „O książkach i ludziach" można spotkać tu popularne, choć nieuproszczone recenzje, omawiające nie tyle treść, ile problemy książki. Tę samą akcję, niestety bez powodzenia, prowadzi krakowskie „Echo tygodnia". Książkę poleca się tam jak towar, ze względu na firmę (autor), opakowanie (szata graficzna) i dla świętego spokoju zbywa przy pomocy jednego zdania stwierdzającego walory polityczne utworu. Skutek bywa między innymi taki, że „Spotkanie z Salomeą" M. Jastruna nie odróżnia się niczym od „Ziemi Wyzwolonej" W. Rymkiewicza. (patrz nr. 25 (115).

Podobny dział — „Co czytać" prowadzi nieregularnie łódzki „Głos Robotniczy". Pismo to nie wydaje dodatku kulturalno - literackiego, ale dołącza co niedzielę specjalne dwie kolumny, poświęcone tym zagadnieniom, nie ucieka ponadto od problematyki kultury i w codziennych wydaniach, ale... oceny książek nie stoją na wysokości zadania. Kilkanaście zdań o książce — rzecz prosta — to żaden system zachęty dla robotniczego czytelnika. Wypada ten brak podkreślić ze szczególnym rozgoryczeniem, ponieważ Łódź posiada wcale liczny Oddział Związku Literatów i polonistów, zdolnych we właściwy sposób popularyzować książkę współczesną.

Nie można mówić o książce w oderwaniu od czytelnika, a jednak tak się dzieje w większości dodatków. 8 stronicowy „Widnokrąg" — dodatek „Gazety Zielonogórskiej", czasem niedzielne „Nowiny Rzeszowskie" zamieszczają od czasu do czasu wiadomości informacyjne o stanie i zasięgu bibliotek powiatowych i gminnych, poza tym o tych sprawach głucho. Tymczasem chodzi nie tylko o informacje, ale o dyskusje czytelników na tematy kultury. Wydaje się, że pisma wojewódzkie, oparte przecież na setkach i tysiącach korespondentów, jakże często działaczach na polu kulturalnym, posiadają szczególnie duże możliwości organizowania dyskusji o książkach. Ankiety, wypowiedzi, opinie — cały ten dociekliwy, chwytający sytuację kulturalną w terenie, aparat poznawczy nie został jak dotąd uruchomiony. Jeżeli tego rodzaju akcje podejmuje tygodnik społeczno - literacki (jak np. „Wieś") to dzieje się to ze wstydem dla redakcji pism masowych, a raczej ich literackich redaktorów. Badania nad stanem kultury prowadzone na konkretnych, wojewódzkich terenach, posłużyłyby niewątpliwie politykowi kultury, publicyście i pisarzowi do szerszych uogólnień. Takiej pomocy należy oczekiwać ze strony dodatków kulturalno - literackich pism codziennych. Warłoby np. przedyskutować z czytelnikami nagrodzone w zeszłym roku powieści, lub przynajmniej te, które dotyczą terenu obsługiwanego przez pismo.

Tak zwany „przeciętny" odbiorca kultury pragnie zapewne wiedzieć co grają w teatrze, jak grają i czy warto sztukę zobaczyć. Trudno byłoby powiedzieć, że prasa codzienna, na którą nasz „przeciętny odbiorca" liczy, nie recenzuje sztuk teatralnych. Ale jak? Owe „recenzje" robią wrażenie fatalnego uproszczenia tego, co pisze się w tygodnikach literackich. A więc streszczenie (bo czytelnik prasy codziennej (jeszcze nie dorósł do problemów sztuki), ogólnikowe rozważania o realiźmie sztuki („przeciętny" nie rozumie metody konkretnego przykładu), następnie cenzurka ideologiczna (widza „przeciętnego" trzeba bronić przed wrogą ideologią), wreszcie słów kilka o grze aktorów i dekoracjach. Podobnie z recenzją filmową. Nasuwają się dwie uwagi: po pierwsze nie wolno uprawiać gorszych, uproszczonych recenzji dla rzekomo nieprzygotowanego „przeciętnego" odbiorcy, po drugie nie należy wymogów prasy codziennej traktować jako niższych niż literackiej. A tak niestety sądzą pisarze, których prace na poziomie w literackich tygodnikach przerażają sztampą w dzienniku.

Trzeba, aby nasze dzienniki zainteresowały się bliżej polityką repertuarową teatrów. Najlepsze na tym polu wyniki osiągnął dodatek śląskiej „Gazety Robotniczej" — „Sprawy i Ludzie", gdzie dyskutuje się publicznie z dyrektorami, reżyserami i kierownikami artystycznymi teatrów potrzeby repertuarowe w oparciu o realne potrzeby widzów robotniczych. Natomiast dzienniki łódzkie przyjmują jedynie repertuar teatrów do wiadomości, rezygnując zupełnie z wpływu na politykę repertuarową.

Osobna sprawa to teatry robotniczo - chłopskie, amatorskie, ożywiające w znacznej mierze życie kulturalne w naszych miasteczkach. Czy prasa codzienna interesuje się nimi? Znowu wypada dać negatywną odpowiedź. Szczęśliwy wyjątek stanowi tu „Widnokrąg" zielonogórski, na łamach którego zabierają głos działacze świetlicowi, oświatowcy, aktorzy — amatorzy i rutynowani pracownicy teatru zawodowego wymieniając nieustannie doświadczenia.

Z zagadnieniem teatrów amatorskich wiąże się ściśle sprawa świetlic. Na tym odcinku jest znacznie lepiej. Łódzki „Głos robotniczy" prowadzi od dłuższego czasu dyskusję o pracy tych instytucji, prawie wszędzie spotykamy „kąciki świtlicowe". Ale... Myślę, że na etapie walki o wychowanie pełnowartościowej, twórczej młodzieży, w okresie walki z chuligaństwem należy wyjść poza ramy pracy tzw. akcyjnej. Chodzi po prostu o to, że o świetlicy pisze się i mówi głównie wtedy, gdy nadchodzi jakaś rocznica, akademia, urządzany jest konkurs. Uroczystość mija, dzienniki milczą, świetlica nie kontrolowana czyjnym okiem korespondenta popada w martwotę, aż ją zbudzi jakieś następne wydarzenie. Polityka redakcyjna powinna polegać na stałym i czyjnym śledzeniu określonych dziedzin życia kulturalnego, a nie tylko na kwitowaniu narad, wizyt i uroczystości.

Najbardziej zaniedbaną dziedziną w naszej krytyce na skalę krajową jest chyba — radio. Stan ten potwierdzają i pisma codzienne. „Sprawy i ludzie" to jedyny chyba dodatek, który prowadzi dział „Z notatnika recenzenta radiowego", poza tym o sprawach radiowych ani słowa. Tymczasem program radiowy odbierany jest przez setki tysięcy słuchaczy. Formy tego programu nieraz atrakcyjne, nieraz i niewłaściwe wymagają stałej obserwacji i kontroli ze strony prasy codziennej. Działy literackie poszczególnych rozgłośni regionalnych upowszechniają obok cennego matriału literackiego także i wątpliwej wartości. Trudno zaiste doszukać się przyczyny milczenia o sukcesach i niedomaganiach radia na polu upowszechnienia wiedzy o kulturze. Przyczyna nie leży chyba w tym, że pracownicy redakcji nie słuchają audycji. Idzie tu raczej o nieuzasadniony brak odwagi w zrewidowaniu odcinka literackiego P. R.

Wreszcie sprawa — satyry. Chadza ona własnymi, „prowincjonalnymi" drogami. A jest to przecież dobra, tęgo bijąca broń w walce klasowej. Wydaje się, że poszczególne redakcje dzienników nie dają sobie rady z poprawnym selekcjonowaniem materiału satyrycznego. Tematy często tu z cyklu nieśmiertelnych — biurokrata, dyrektor centrali używający prywatnie służbowego samochodu, gadatliwy mówca, reakcjonista pieniący się na widok nowej fabryki — brak natomiast humoru z fabryki, zakładu pracy, z terenu PGR-u. No i poziom artystyczny nie może zadowolić.

Gruntowna analiza dodatków literacko - społecznych, wychodzących przy prasie codziennej staje się konieczna. Są to bowiem narzędzia podstawowe w terenowej polityce kultury. Ale nie tylko to — pismo codzienne stanowi najczęściej „szkołę" dla początkującego pisarza. Byłaby już pora ocenić dorobek naszej prasy na tym kadrowym odcinku.

Stanisław Siekierski

JAN GITLIN

„Kombinacje polityczne"

oraz to, co istotne

JAK wiadomo, na Konferencji w Poczdamie przyjęto wniosek radziecki, zezwalający Niemcom na produkowanie trzech milionów ton stali rocznie, to jest ilości produkowanej w 1932 r, wystarczającej na pokojowe potrzeby kraju. Jednak komisja przedstawicieli monopoli amerykańskich, powołana przez Departament Stanu po Konferencji Poczdamskiej, doszła do innego wniosku. Wniosek ten jest, między innymi, jednym z przykładów i dowodów wielkich sprzeczności w obozie imperialistycznym.

Monopoliści amerykańscy rozumowali następująco: Wielka Brytania znalazła się w posiadaniu Zagłębia Ruhry, należącej do jej strefy okupacyjnej, co stawiałoby monopolistów amerykańskich w gorszej sytuacji od monopolistów angielskich. Wobec tego 171 amerykańskich firm, które już w 1943 roku (!) ulokowało 420 milionów dolarów w przemyśle niemieckim, znalazłoby się pod kontrolą monopolistów angielskich. Co robić? Wykorzystać słabość finansową Anglii, która szukała pomocy finansowej u bankierów amerykańskich, nie tylko na finansowanie nowych przedsięwzięć w Niemczech Zachodnich, ale na kupno... żywności. Kiedy więc uzależnili Anglię drogą pożyczek i udziałów w jej łupach wojennych, a między nimi w Zagłębiu Ruhry, monopoliści amerykańscy postanowili podwyższyć produkcję stali w Niemczech Zachodnich do 10 milionów ton rocznie, która to ilość stworzyłaby bazę dla nowego przemysłu zbrojeniowego. W ten sposób, poza głównym celem — przygotowania sił do nowej agresji przeciwko Związkowi Radzieckiemu i krajom Demokracji Ludowej, przy pomocy neo-hitlerowskich Niemców, monopoliści amerykańscy zyskaliby możliwości nowych inwestycji.

W grze tej dominował jeszcze jeden czynnik: bardzo uzasadniona obawa przed ruchem antyfaszystowskim i ludowo-demokratycznym. W tym celu imperialistom amerykańskim i niemieckim potrzebne było stworzenie takiej „kombinacji politycznej", która nadawałaby kierunek temu ruchowi, „kombinacji" w rodzaju niemieckiej socjal-demokracji Noskego w 1919 roku, która miała za cel wydać masy pracujące faszyzmowi. Tą „kombinacją" stała się schumacherowska socjal-demokratyczna SPD. Zadaniem prawicowych przywódców socjal-demokracji było udawanie opozycji do pewnej odpowiedniej chwili. Od kilku tygodni, schumacherowcy przestali już lawirować, przestali udawać opozycję. Była to chwila, w której Adenauer w czasie swojej niedawnej wizyty w Londynie i Paryżu, postawił cenę za swoją współpracę w amerykańsko-angielsko-francuskim dziele wywołania nowej wojny światowej. Żądania te obejmowały: włączenie do Paktu Atlantyckiego, polskich ziem zachodnich i Sudetów Czeskich. W tej to właśnie chwili, gdy Adenauer stawiał wojenny program polityczny schumacherowska SPD umilkła. Przestała lawirować.

Nie odezwała się także słowem protestu, gdy Adenauer zapowiedział wprowadzenie ustawy o powszechnej służbie wojskowej, nie odezwała się słowem, gdy okazało się, że nowotworzona armia niemiecka ma także stacjonować w innych krajach europejskich, nie padło wreszcie słowo protestu, gdy rozpoczęła się terrorystyczna, neo-hitlerowska akcja policyjna Lehra przeciwko Komunistycznej Partii Niemiec.

Fala hitlerowskiego terroru w stosunku do Komunistycznej Partii Niemiec dla sprowokowania terroru przeciwko wszystkim bojownikom o pokój, odwetowa polityka Adenauera, spowodowały nieprzerwany łańcuch ostrych protestów we wszystkich miastach Niemiec Zachodnich. Szczególnie bojową pozycję przyjęli związkowcy, oburzeni zdradziecką polityką schumacherowców. Górnicy, metalowcy, włókniarze, portowcy Bremy, Hamburga, Duisburga, robotnicy Duesseldorfu, 110 tysięcy związkowców Norymbergii, zjednoczyło się w powodzi protestów i wieców, demonstracji i masówek przeciwko polityce Adenauera, witając dzień 7 lutego — otwarcia debaty w „parlamencie" bońskim nad ustawą Adenauera o powszechnym obowiązku służby wojskowej — zebraniem dziesiątków tysięcy demonstrantów przed parlamentem, żądających odwołania projektu tej ustawy. Ważne jest to, że nie tylko robotnicy, nie tylko chłopi, ale także inteligencja Niemiec Zachodnich w osobach byłego kanclerza Wirtha, pastora Niemoellera, Millera i Heleny Wessel, b. przewodn. partii centrowej, występują przeciwko planom remilitaryzacji Niemiec, a za połączeniem Niemiec we Froncie Narodowym pod przewodnictwem klasy robotniczej, przeciwko otwartej dyktaturze wojennej Adenauera i przeciwko takim przywódcom SPD, jak Christian Fette i Hans van Hof, którzy stałym lawirowaniem wydają naród niemiecki na pastwę Departamentu Stanu i swoich własnych imperialistów.

Jan Gitlin

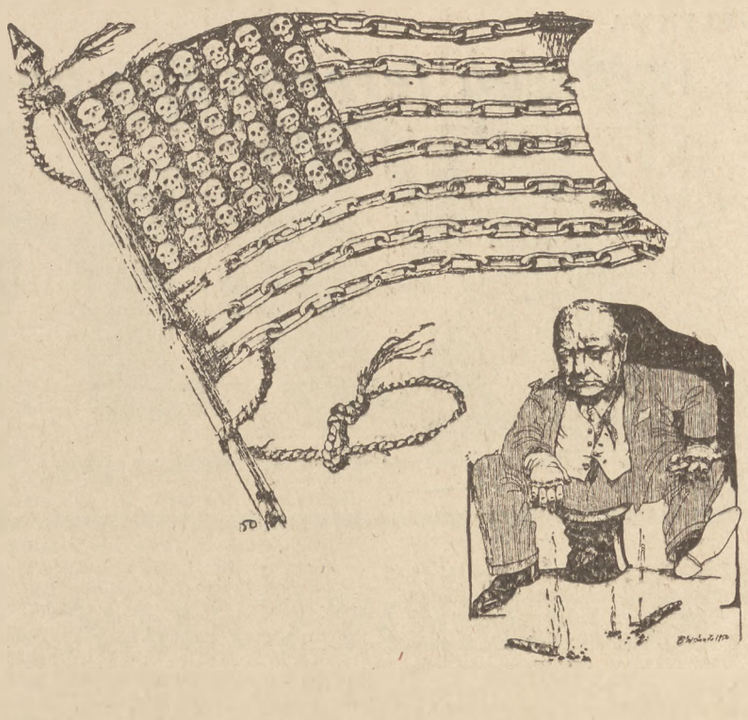

B. W. Linke

JAN GRUŻEWSKI

JAK DOBRY SPRZEDAWCA...

40 lat temu, kandydując do parlamentu z ramienia liberałów, Churchill tak opisywał skutki ewentualnego zwycięstwa Torysów: „Korupcja w kraju, agresje za granicą, sentymentalizm całymi wiadrami, patriotyzm i imperializm na miarę imperialnych kuflów, droga żywność dla milionów, tania siła robocza dla milionerów".

Od 40 lat Churchill realizuje ten właśnie program Torysów. Ale dlatego musiał go z biegiem lat rozszerzyć. Był to bowiem bieg lat historii, mnożącej świty zwycięskich rewolucji i pogłębiającej rozkład gnijącego kapitalizmu. Program rozszerzony przez Churchilla po II-giej wojnie światowej da się lapidarnie wyrazić jego własnymi słowami... „Kiedyś W. Brytanię nazywano Imperium".

Imperium rozlatuje się i nie ma takiego sposobu w świecie burżuazji angielskiej, ani i takiej już czelności, aby temu zaprzeczyć.

Mówi się wszak wyraźnie o odkupieniu Kanady przez Stany Zjednoczone — wniosek taki wpłynął do Kongresu. I nie tylko Australia i Nowa Zelandia zależą już finansowo od Wall-Street, ale także dawne kolonie ogarnia bunt, który, na ile może eksploatuje imperializm amerykański, mnożąc trudności Anglii na Bliskim i Środkowym Wschodzie.

Churchill, po powrocie z Waszyngtonu, mówił wprawdzie w Izbie Gmin blagiersko: „Nigdy nie uważałem, żeby Wielka Brytania miała prowadzić targi ze Stanami Zjednoczonymi, gdyż jeśli my pracujemy z Ameryką bez zgrzytów na Dalekim Wschodzie, to ona winna czynić to samo w stosunku do nas w rejonie Bliskiego Wschodu". Ale sytuacja jest tak jasna, że nawet „Times", usiłujący na podobieństwo Churchilla ukryć haniebną jego zdradę w Waszyngtonie, stwierdza, że — mimo zapewnień ze strony Ameryki, iż ta nie uczyni nic bez zasięgnięcia opinii Wielkiej Brytanii — „istnieje niebezpieczeństwo, że w nagłym wypadku może pozostać zbyt mało czasu, aby prowadzić dyskusje"... Wtóruje mu labourzystowski „Daily Herald", oszukujący masy i grający rolę oszukiwanego przez konserwatystów, pisząc niewinnie: „Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że Churchill nie zdoła wywrzeć uśmierzającego wpływu na te odłamy opinii amerykańskiej, które się opowiadają za rozszerzeniem wojny w Korei". Komentarz „Daily Herald" utrzymany jest w takim tonie, jak gdyby partia labourzystowska nie była uprzednio u władzy w Anglii, jak gdyby obecna polityka Churchilla nie była kontynuacją polityki labourzystów, jak gdyby Attlee, jej przywódca, będąc niedawno premierem nie współpracował z Trumanem w przygotowaniu nowej wojny światowej.

Attlee, kładąc fundamenty pod obecną politykę Churchilla, był często pod obstrzałem „krytyki" konserwatystów... Churchill na przykład ostro krytykował Attlee za oddanie dowództwa nad „flotą atlantycką" Amerykanom, sam jednak wyraził na to zgodę w Waszyngtonie. Z kolei Attlee „krytykuje" obecnie politykę Churchilla, i tak to „krytykując" się wzajemnie, obaj przywódcy nie tracą żadnej okazji realizowania polityki wyprzedaży imperium i godzenia w najżywotniejsze interesy najszerszych mas narodu.

O zdradzie Churchilla najwyraźniej mówi amerykański dziennik wielkokapitalistyczny „New York Times" (i to po wizycie Churchilla u Trumana): „Churchill dał próbkę tego, jak należy mówić o jednej i tej samej rzeczy w dwóch różnych formach. Jak **dobry sprzedawca**, który ma różnych klientów, przedstawił swoje artykuły w najlepszym świetle, najpierw w Waszyngtonie, potem w Londynie"...

Jak widać, Churchill ukrył przed parlamentem angielskim wszystko, co istotnie określa stopień zaprzedania imperium w służbę amerykańską. A przecież w przeddzień jego mowy minister budżetu, Butler, nakreślił w Izbie Gmin ponury obraz przyszłości, jaki rząd Churchilla szykuje masom pracującym z chwilą wejścia w życie w marcu nowego budżetu. Butler zamierza zaoszczędzić 475 milionów funtów szterlingów, potrzebnych na co?... na zbrojenia, przez jeszcze większe obniżenie poziomu życia angielskich mas pracujących. Będą zredukowane wydatki na budownictwo mieszkaniowe, na świadczenia socjalne i zdrowie publiczne, redukcji ulegną tysiące urzędników państwowych, wzrosną ceny na szereg podstawowych artykułów żywnościowych i włókienniczych.

Tak wygląda prawda o rządzie Churchilla, który — jak przed każdą kampanią wyborczą —tak i w czasie ostatniej, przyrzekał narodowi dobrobyt i „walkę o pokój". Ale już po kilku miesiącach jego przyjaciel i minister skarbu, Thorney-Croft, oświadcza cynicznie: „Żadna partia nie jest w stanie dotrzymać swych obietnic wyborczych, po kilku miesiącach dzierżenia władzy".

I to jest kłamstwem, kłamstwem burżuazji zdradzającej naród. Bo naród angielski, bo jego masy pracujące wiedzą dobrze, że obietnice wyborcze mogą być dotrzymane, tylko — nie przez partię labourzystowską i na pewno nie przez partię konserwatystów. Masy pracujące Anglii wiedzą, że w krajach Demokracji Ludowej wszystkie obietnice wyborcze zostały dotrzymane.

Nie ulega kwestii, że obecne rządy konserwatystów są ich ostatnimi rządami. Dowodzi tego wzrastająca przeciwko rządowi opozycja, coraz częstsze wybory komunistów na kierownicze stanowiska w związkach zawodowych, dowodzi tego ostatnio założone towarzystwo wybitnych naukowców angielskich „Wiedza w służbie pokoju"; świadczy o tym coraz większe zainteresowanie angielskich mas pracujących osiągnięciami w Związku Radzieckim i krajach Demokracji Ludowej, tak jak świadczy o tym ruch pokoju, obejmujący w Anglii coraz większe rzesze ludności.

Jan Grużewski

OJCOWIE i SYNOWIE

(Dokończenie ze str. 5)

stało ich zaledwie trzy pary. Ojciec czeka na powstanie POM-u w okolicy a może nawet...

W domu pojawił się po raz pierwszy w naszej rodzinie biały chleb i mięso. Może się to wyda dziwne, ale dopiero w 1946 roku pierwszy raz kupili mi rodzice garnitur.

Widmo nędzy i zupełnego upadku, jakie wyglądało do nas z każdego kąta, jest już dzisiaj tylko wspomnieniem. Bo długi, straszne długi, jakie ciążyły na naszym gospodarstwie rewolucja zdjęła z bark ojca, jakby to ona spłacała ojcu dług, zaciągnięty wobec lat jego zawziętej, straszliwie ciężkiej a niewdzięcznej pracy. Oddłużenie mało i średniorolnych przez Rząd Ludowy ojciec przeżył bardzo głęboko i bardzo swoiście. Po raz pierwszy w sposób istotny zobaczył ustrój społeczny. Zobaczył go dlatego, że był nowy, przeciwstawny do tego, w jakim się urodził. Tamten odczuwał jak powietrze, choć było to, dla takich jak mój ojciec, powietrze zarażone morem. Kiedy mawiał wówczas: nasz los zależy od naszej pracy, przebiegłości i upartości, miał swoją rację. Rozumiał, że jemu nie pomoże nikt i nic. Żył wobec tego złudzeniem, że pomoże sobie sam. Teraz po raz pierwszy zdumiał się, jak nigdy w życiu. Długi zdjęte. Zdjęła je **ustawa, ustawa** powtarzał często, oswajając się z tym słowem, które dawniej oznaczało zawsze dla chłopa — nieszczęście.

I po raz pierwszy w życiu ojciec mój zrozumiał, że za ustawami stoją ludzie a nie boski porządek rzeczy. Zrozumiał, że kiedy on tyrał przed laty, wówczas w gorszych często warunkach walczyła klasa robotnicza i wywalczyła mu lepsze życie. To polityczne przejrzenie na oczy odbyło się u mojego ojca gwałtownie i dlatego aż nazbyt naiwnie. Optymizm, jaki go ogarnął, łaknął nowych „cudów", cudownego wypełnienia się w życiu wsi każdej ustawy.

Dlatego nowe lata nie poskąpiły mu i zawodów, w których miał się dopiero uczyć prawdy w twardych prawach rewolucji, o walce i poświęceniu, które wzmacnia, upowszechnia i rozwija zdobycze ludu pracującego.

Jednym z takich zawodów była dystrybucja towarów przemysłowych dla wsi w latach 1945-48. Nie było ponoć nawozów, żelaza, narzędzi, tekstylii, ale „niektórzy" jakimś sposobem przywozili wczesnym rankiem nawóz; dostawali skądś żelazo, dostawali materiały tekstylne. Ojciec przestał więc wierzyć w ZSCh, którego początkowo był członkiem. I o ile w 1945 i 46 garnął się do życia politycznego, tak później machnął ręką na wszystko. Kilka razy okradziono wtedy spółdzielnię W miasteczku zaczęli obrastać w pierze różni sklepikarze i hurtownicy.

Drugim ciosem dla ojca była panika, wywołana przez kułaków decyzją partii i rządu o rozwoju spółdzielni produkcyjnych. Plotki o tym, że rząd będzie odbierał ziemię, pogłoski o wspólnym kotle napełniły ojca nową goryczą. Te 12 mórg, które zdobył dzięki nadludzkiej pracy całego życia, były wszak dla niego czymś tak organicznie nierozdzielnym od jego osoby i rodziny... Niedługo jednak reakcja cieszyła się powodzeniem bezwstydnych oszczerstw. W Jachowicach powstała spółdzielnia produkcyjna i nikomu ziemi nie odebrano. Każdy natomiast mógł zobaczyć, że zamiast 30 ludzi i 30 koni pracuje w polu przy orce jeden traktor. Ludzie natomiast wykorzystują swój czas na roboty inwestycyjne, na prace przy hodowli i uprawie roślin szlachetnych. Kułacki straszak przestał działać.

Najważniejszym jednak przełomem dla mojego ojca był awans społeczny trojga jego dzieci. Ja kończę w tym roku studia na Uniwersytecie Łódzkim. Brat zdobył kwalifikacje w zawodzie szewskim i awansował na księgowego w spółdzielni szewskiej. Siostra skończyła liceum dla wychowawczyń przedszkoli i pracuje w przedszkolach łódzkich. W domu pozostała tylko jedna najmłodsza siostra, której ojciec również nie zamyka drogi na świat.

— Nie broniłem żadnemu iść we świat, nie mogę zabronić i tej ostatniej. Niech idzie gdzie chce i kiedy tylko chce. Ja sobie jeszcze poradzę... Ileż się mieści nowego w takiej mowie ojca, a wygłasza ją, ilekroć zjawimy się w domu.

Ojciec nasz żył przecież marzeniem o takiej chwili, w której będzie mógł oprzeć ręce o pług na własnej ziemi. Gdy wreszcie dochrapał się tej ziemi, stanął przed nowym marzeniem, żeby każdemu z dzieci zostawić chociaż po 3 morgi. A tu przed każdym z nas, zupełnie niezależnie od zabiegów ojca, otwarły się tak szerokie drogi awansu, że te trzy morgi, zapracowane dla każdego z nas przez ojca w ciągu 50 lat jego nadludzkich wysiłków i wyrzeczeń, stały się czymś bardzo znikomym. O spadek, jaki nam przygotowali rodzice żadne z nas przecież nie zapyta.

Cóż to znaczy, kiedy ojciec mówi: „Ja sobie jeszcze poradzę." (nawet gdyby najmłodsza siostra wyfrunęła z domu). A mówi wtedy zwykle również i o tym, że „ja moje dzieci także wykształciłem". Rozumiem mojego ojca. Nie on wykształcił swoje dzieci, ale on wie, że na pozostawionej przez nas gospodarce, straż trzymać musi nadal, aby nie oberwały się warunki, dzięki którym w kraj poszliśmy na nowe życie, na budowanie nowego życia.

— Jak będzie mi ciężej powiada ojciec — to oprę się o spółdzielnię, bo pewnie już nastanie, a około ziemi trzeba chodzić, trzeba ją na poziom dźwigać.

Wroga plotka, która dwukrotnie zachwiała zaufaniem ojca do władzy ludowej, nie ma dziś już tej siły, jaką miała kiedyś.

Moim największym pragnieniem jest, aby ojciec żył zdrowy jeszcze bardzo długo. Żeby na własne oczy mógł oglądać moją pracę, szczęśliwe dzieciństwo swoich wnuków i żeby rodzice mieli taką starość, jakiej nie pragnęli nawet w najśmielszych swoich marzeniach. Możemy i moglibyśmy ją — my dzieci — zapewnić ojcu i matce — osobiście. Ale chyba największym w ich życiu przeżyciem i najbardziej nagradzającym, będzie ich starość w spółdzielni produkcyjnej, wśród sąsiadów tuż, wokół żyjących na codzień ustawami socjalistycznego społeczeństwa.

Tadeusz Muras

Z prasy radzieckiej

Literatura wyrasta z życia

NIEDAWNO do redakcji poczytnego pisma radzieckiego „Literaturnaja Gazieta" wpłynął list jednego z czytelników, wyrażający niewątpliwie zainteresowania szerokiej radzieckiej rzeszy czytelniczej. List ten warto przytoczyć:

„Szanowni towarzysze! W naszej wsi Krupino (kołchoz imienia Kaganowicza) w okręgu moskiewskim rok temu otworzono księgarnię. Było to dla nas wielkie wydarzenie. Kołchoźnicy bardzo chętnie kupują książki— i to nie tylko o problematyce gospodarczej, ale również artystycznej. Ale kołchoźników interesują nie tylko książki, interesują ich też autorzy. Czytelnicy pytają mnie często, jak radzieccy pisarze rozpoczynali swoją działalność, jak układało się im życie". Dalej autorka listu, kierowniczka biblioteki w kołchozie im. Kaganowicza, zwraca się do redakcji pisma z prośbą o podanie życiorysów pięćdziesięciu najbardziej popularnych pisarzy radzieckich.

Z tekstu przytoczonego listu wyłania się bardzo ważne zagadnienie: że czytelnicy pragną widzieć obok dzieła artystycznego postać autora; wartość książki naprowadza na pytania kim był czy jest autor, jakie miał życie — z jakich doświadczeń, z jakiej materii przeżyć ukształtowane zostało dzieło. Jest w takiej postawie, leży w charakterze takiego zainteresowania przeświadczenie, że wartościowe, ciekawe książki nie powstają „przy biurku", lecz wyłaniają się z życia. Ten ścisły związek między literaturą a życiem staje się pewnikiem i miernikiem dojrzałości oraz wartości artystycznej książki. Nie ma dzieła poza życiem. Rozszerzmy tę tezę: nie ma dzieła poza terenem, poza rozległym warsztatem doświadczalnym, jaki stanowi olbrzymi Związek Radziecki, zarówno w swoim centrum, jak i na pograniczach.

Sięgnijmy do życiorysów pisarzy radzieckich: większość biografii potwierdzi tę tezę: Pisarze wyszli z „dołów", z „gąszczu życia", przynieśli ze sobą własne doświadczenia i przeżycia, które zarazem były treścią życia ludu w rodzimym rejonie danego autora.

Teodor Gładkow przyszedł na świat w ubogiej chłopskiej rodzinie. Życie nadwołżańskich okręgów przedstawił w powieści - autobiografii p. t. „Opowieść o moim dzieciństwie" oraz w „Wolnicy". Słynny Paweł Bażow, odtwórca uralskiego folkloru w „Szkatułce z malachitu", był synem górnika. Mikołaj Laszko trudnił się tokarką, przeszedł przez szkołę ruchu rewolucyjnego, siedział wiele lat w więzieniach. Jakub Kołas, jeden z najznakomitszych poetów białoruskich był nauczycielem. Wsiewołod Wiszniewski, autor dramatu „Niezapomniany rok 1919" brał czynny udział w rewolucji i wojnie domowej, obsługiwał kułomiot, był żołnierzem. Z szeregów Czerwonej Armii wyszli tacy pisarze, jak Furmanow i Tichonow, podobnie Ławreniew, Surkow, Fadiejew Znakomity dziś poeta Stiepan Szczipaczow był robotnikiem w kopalni azbestu. Z ludu wyszli Szołochow, Panfierow, Pawlenko. Spośród robotników - metalowców wyszedł Włodzimierz Popow, który zdobył stopień inżyniera. Napisał powieść „Stal i szlaka". Autor „Ziemi Kuźnieckiej", Aleksander Wołoszyn, pracował jako rębacz w kopalni węgla w Zagłębiu Kuźnieckim. Grossman był chemikiem w kopalni węgla w Zagłębiu Donieckim. Borys Polewoj, zanim napisał „Opowieść o prawdziwym człowieku", zatrudniony był w charakterze technologa w jednej z fabryk włókienniczych. Wielka Wojna Ojczyźniana dała nowy zastęp pisarzy, ludzi frontu, żołnierzy, którzy wnieśli do literatury własne przeżycia. Byli to: Wiktor Niekrasow, Kazakiewicz, Werszyhora, Gonczar i inni. Spora ilość piór rekrutuje się z szeregów nauczycielstwa i dziennikarzy Stiergiejew - Censki, Upit, Małyszko, Bubiennow, Pogodin, Panowa, Siedych, Wirta, Surow, Lebereckkt, Ilienkow.

Wszystkie te wypadki dowodzą ścisłego związku literatury z życiem mas. Ludzie stawali się pisarzami pod naporem przeżyć, z pragnienia przekazania, utrwalenia w kształcie artystycznym własnych i ludowych doświadczeń. Ta droga stawała się drogą dopływu do literatury nowych kadr, nowych sił. Nie należy jednak przypuszczać, że pojawienie się nowych talentów odbyło się w jakiś magiczny sposób, za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, lub na skutek wiersza Majakowskiego „Rozkaz nr 2 do Armii Sztuk Pięknych" Bynajmniej. Tu nie wystarczą efektowne deklaracje. Trzeba zwrócić uwagę na to, że właśnie radziecka organizacja życia literackiego, radziecka sieć pism literackich i codziennych ułatwiła nowym talentom liczne publikacje, stała się tym przewodem, którym „od dołu" do centrum napływały świeże talenty.

Pisałem już o tym w poprzedniej kronice, że w Związku Radzieckim zarzucono stare mieszczańskie kryteria, według których życie literackie dzieli się na lepsze — stołeczne i „prowincjonalne". Stworzenie dalekosiężnej sieci pism literackich, almanachów i wydawnictw, wzbudzenie zainteresowań literaturą w prasie codziennej umożliwiło „wyłapanie" każdego talentu. Pisarz na odległych krańcach Zw. Radz. znajdował dla siebie natychmiastowe możliwości startu.

Żeby się przekonać, że tak jest, wystarczy przejrzeć prasę radziecką. Informacje o pisarzach, rubryki nowych książek, mówią nam o rozległości życia literackiego, które bijąc obfitym źródłem w Moskwie, nie zamiera bynajmniej na dalekich pograniczach. Podaję kilka wiadomości, ilustrujących ten problem, co prawda „na wyrywki", ale jednak w sposób dostateczny.

W r. 1951 w Irkucku (Syberia) wydano 45 książek miejscowych autorów o łącznym nakładzie miliona sta tysięcy egzemplarzy. W Kirensku na Leną istnieje liczne stowarzyszenie młodych pisarzy.

Syberia święciła niedawno trzydziestolecie własnego pisma literackiego „Ognie Syberyjskie". Tutaj debiutowali: Sejfulina, Karawajewa, Utkin, Ałymow, Markow, Fiedorow, Siedych, Wołoszyn.. Almanach poświęca wiele uwagi problematyce Syberii i syberyjskiego pogranicza. Redakcja zapowiada na najbliższy okres druk powieści M. Aleksiejewa „Żołnierze" i następnej części „Ziemi Kuźnieckiej" Wołoszyna p.t. „Dalekie Góry". M. Maksimow w powieści „Poszukiwacze szczęścia" przedstawi działalność amerykańskich imperialistów we wschodniej Syberii w okresie przedrewolucyjnym. B. Kostiukowski opublikuje powieść o kołchozach w okręgu zabajkalskim p. t. „W górach Akuckich". Nauczycielka z okręgu nowosybirskiego N. Korniejewa ukaże pracę nauczycielstwa na tych terenach w powieści o nieustalonym jeszcze tytule.

Widzimy, jak z życia, z problematyki terenu wyrasta literatura, jak dochodzi ona do głosu w oparciu o miejscową prasę literacką i lokalne wydawnictwa.

Specjalnie tematyce syberyjskiej poświęcona jest „Biblioteka pisarza syberyjskiego", która wydała właśnie powieść Wołoszyna oraz powieść K. Siedycha „Daurla", a także wiersze Piotra Komarowa, powieść G Kungarowa „Dersu - Ursala", G. Markowa „Strogowowie" (o początkach kapitalizmu na Syberii), A Koptiajewej „Wielkie koczownictwo" i wiele innych. Równie bogate i ciekawe życie literackie rozwija się na innych terenach W górach Ałtajskich w mieście Barnani powstał miejscowy oddział Związku Pisarzy. Tu wydano powieść M. Pawłowa „Znojne lato", P. Buturlakina „Ognie w stepach", M. Judalewicza poemat o Połzunowie. W dalekim Władywostoku wychodzi almanach „Radzieckie nadmorze". Tu wypowiadają się m. in. robotnicy - stoczniowcy i partyzanci z lat 1918 — 1920 w cyklu „Tego nie podobna zapomnieć". Zbiór opowiadań marynarzy radzieckich pt. „Pod obcym niebem" demaskuje imperialistyczną Amerykę Tenże problem podejmują powieści G. Nikitina „Daleki rejs" i A Starostina „Pod władzą dolara". Miejscowe wydawnictwo literackie wydaje książki pisarzy, mieszkających we Władywostoku. O życiu marynarzy radzieckich na Pacyfiku napisali powieść Zajcew i Skalski pt. „W dalekim porcie".

W okręgu amurskim, w mieście Błagowieszczeńsk wychodzi almanach literacki „Nad Amurem", powstają powieści, drukują się książki. W Taszkiencie ukazuje się w języku rosyjskim miesięcznik pt. „Gwiazda wschodu". W okręgu usuryjskim rozwija działalność związek pisarzy, posiadający własne wydawnictwo. Tu wydano ciekawą książkę L. Szana pt. „Pochód przez pustynię Gobi". Na Krymie istnieje specjalny almanach pt. „Krym", publikujący literaturę dotyczącą budowniczych kanału krymskiego Wychodzą książki m in. E. Popowkina „Budowniczowie", D. Cholendra „Gospodarze morza". Również własny organ literacki posiada teren Donu. Kachówka doczekała się także własnego almanachu.

Wszystkie te przykłady świadczą o tym, że „terenowa" problematyka dopływa do centrum literatury radzieckiej poprzez miejscowe życie literackie, poprzez wydobycie i ukształtowanie w formie artystycznej miejscowych obserwacji, spraw i trosk. Szeroka sieć wydawnictw, prasy literackiej gazet i korespondentów ułatwia narodziny nowego talentu.

Wnioski nasuwające się polskiemu czytelnikowi są jasne: jedynie silne „uterenowienie" centralnych pism literackich, objęcie zainteresowaniem całego obszaru Polski pozwoli wykryć nowe siły, ułatwi dopływ świeżych talentów. Nie sądzę, aby sprzyjała temu jednostronna centralizacja życia kulturalnego i artystyczno - literackiego w Warszawie. Ucieczka do Stolicy talentów, ogołacanie „prowincji" z piór literackich wytwarza sytuację, w której nowe kadry na prowincji nie znajdują dla siebie punktu zaczepienia: nie ma do kogo, ani do czego się zwrócić.

Jest to poważny problem, godny czujnej troski Z budowniczymi Polski Socjalistycznej przychodzą do nowego życia nowi potencjonalni pisarze, wyposażeni w bogactwo doświadczeń i przeżyć Trzeba się nimi zająć, trzeba umożliwić im pisarski start.

Grzegorz Timofiejew

Gazetka gminna

Odkryte sztuczki

Wrócił nasz Wincenty z dwutygodniowego kursu. Na kurs go poproszono, bo się wyróżnił w akcji skupu. Znaczy się „awansem" pojechał, bo inaczej jakby staremu chciało się uczyć? Kurs się tyczył spółdzielczości zbytu i zaopatrzenia. Wincenty będzie przewodniczącym naszego komitetu sklepowego. Filii jeszcze nie ma, ale budynek odpowiedni już mamy i podanie złożyliśmy.

Zebrała się gromada, aby posłuchać Wincentego.

— Jakby to Wam powiedzieć. Społeczną przeszedłem szkołę. Na ten przykład weźmy sklep, co go jeszcze nie mamy, ale będzie. Puścimy go w ruch i jaki widzicie ruch?

— No, ruch **towarów** — ktoś zarzykował.

— Ruch towarów, ma się wiedzieć, ale także samo, ruch **ludzi.** Tego mnie nauczyła szkoła społeczna. Zacznie się ruszać sklepowy, porządny dawniej człowiek, ale zaczną się też ruszać wszyscy a pytam was, czy jednakowo?

— A ino...

— O i w tym rzecz, kto będzie ruszał sklepowym? Większość, powiecie, biedota. Ale trzeba dobrze ruszać i jeszcze lepiej miarkować, aby kto źle a szczwanie nie ruszał. Czyli szkoła społeczna. Weźmy na ten przykład powiat. Ho, ho, ho czego z takiej wysokości nie zobaczysz? Za głowę się brałem. Bo to ze wszystkich województw przyszły przykłady do naszego województwa, stąd zaś do powiatu, a na dokładkę powiat miał swoje.

Sklep społeczny to wielka szkoła dla gromady, ale też wielka okazja do szkodnictwa i demoralizacji. Wróg klasowy z tej strony podchodzi. Ja wam tu te przykłady... abyśmy się w korcu maku nie zgubili, kiedy otworzymy nową filię.

Pożycza z was kto konia albo wóz, albo rower od sąsiada? Niejeden. Ale, jak pożycza sklepowy, to co z tego wyjść może?

— Grzeczność za grzeczność...

— Otóż to! Musimy wybić z głowy i sklepowemu i temu, kto pożycza — że nie odwzajemnia się grzeczności towarami naszego sklepu.

A teraz na ten przykład bańki na naftę. Chłopi przynoszą i wstawiają do sklepu, niechta czekają. Pilny sklepowy ponalewa, kiedy nafta przyjdzie i potem co?

— A to sztuczka! Jeden otrzyma 10 litrów, drugi 2 i nikt nie wie, kto ile!

— Otóż to, kto tu ma szansę poruszać sklepowym? Bogacze, kumotry, krewni.

A to jak wam się podoba. Sklepowy sprzedaje wódkę i pozwala ją pić na miejscu, co z tego może wyniknąć?

— ...Awantura.

— Oto idzie, pijani cen nie dopatrzą, płacą ile się od nich żąda. Jak tego spróbuje sklepowy, to potem idzie do biedniaka i namawia go, aby łupnął wieprza. Przyda mu się mięso na zagrychę, niby tak po przyjacielsku pod wódkę dla pijących.

— No, no, no...

— Lemiesze w pewnej spółdzielni sprzedawano i obręcze. Ma się rozumieć w pierwszym rzędzie małorolnym. I co powiecie? Lista była dobrana. Brał taki obręcze i za umówiony meterek żyta oddawał bogaczowi z drugiej listy. Tak to funkcjonował sklepowy.

A był też taki sklepowy, co swojego syna i córkę ubierał w niedzielę w nowe ubranie ze sklepu. W poniedziałek wracały te ubrania na hak do sprzedaży.

— Odkryj nam Wincenty wszystkie takie sztuczki, to my już będziemy wiedzieli, jak pilnować naszego dobra w sklepie i jak gadać z tymi, co przeciw nam.

Alojzy Pośpiech

Nie nada się?

Trafiły w moje ręce dwa listy młodych nauczycieli. Z Rzeszowskiego — nauczyciela, z Warszawskiego — nauczycielki. Tematem w obu listach: sprawa miłości i małżeństwa. Ujęcie również podobne. To ujęcie zatrzymało moją uwagę. Jakże to bywało w latach przedwojennych i jeszcze wcześniej? Nauczyciel na wsi, samotny inteligent, „pan" w ocenie gromady. Z kim się miał żenić? Z nauczycielką, z miastową, najrzadziej z dziewczyną wiejską. Jemu się nasza nie nada" mówiono. On również pilnował „autorytetu". Wdzięczny to był dla romanso - pisarza temat, nie traci też na uroku dzisiaj. Tragiczny bowiem dawniej wątek dzisiaj znajduje pomyślne, optymistyczne rozwiązanie.

Ginie izolacja społeczna i obyczajowa między nauczycielstwem.

Ileż to rodzin we wsi odwiedza młodzież kształcąca się w szkołach średnich i na wyższych uczelniach. Jak szeroki wyrasta aktyw z miejscowych chłopów i chłopek.

A jednak? A jednak zdarzają się jeszcze tacy nauczyciele i takie nauczycielki, jak autorzy listów, o których wspomniałem.

On, młody chłopak, zapracowany w szkole, pyta: gdzie znaleźć żonę? „Trzeba chyba szukać w dalekim Rzeszowie, albo w innym mieście, bo choć nie gardzę dziewczyną wiejską, żadna mi się jednak nie nada, gdyż pragnę takiej, która mogłaby w każdej chwili stanąć do pracy, jak moja, lub podobnej, a gdzie ja taką znajdę"?

Nauczycielka z województwa warszawskiego sama jest chłopką z pochodzenia. Jeszcze w liceum przyjaźniła się z synem sąsiada. Teraz on się oświadczył i... otrzymał kosza. „Nie mogę się na to zgodzić — pisze nasza **uczona** — ponieważ on pracuje na roli a ja jestem nauczycielką. Choć poznaliśmy się dobrze i nasze charaktery są podobne, on jednak nie ma żadnego zawodu wyuczonego. Nie mógł się uczyć dalej, bo nie ma ojca i musiał prowadzić gospodarkę. Nie byłabym szczęśliwa w małżeństwie, bo czyż można pogodzić ze sobą tak różne przygotowania do życia"?

No i co Wy na to Czytelnicy? Bierzcie za pióro i piszcie, jak to tam u was w okolicy. Pokażcie **nowych** nauczycieli i nie żałujcie kpinek tym, którym jeszcze się wydaje, że „schodzą w lud".

Cytowane listy domagają się dyskusji.

Jan Kurzołęka

Chłopi nad Bałtykiem

Kiedy mówimy „nad Bałtykiem", myślimy o portach, marynarzach, o rybakach, o wakacjach nad morzem. Pomyślmy choć raz również o chłopach. Warci tego. Wracam z pomorskiego województwa i spod Gdańska pod wrażeniem chłopskiego patriotyzmu. Najlepiej powiedzą o tym przykłady. W powiecie Chojnice prawują się chłopi z PGR-em o... jęczmień browarny. Poszli na szeroką kontraktację, ale od dwóch lat zbiory nie udają się. Odkąd mianowicie zareklamowała im Samopomoc „duński jęczmień". Nawet na ziemniakach — jak powiadają — na sutym oborniku, w dobrej ziemi, przy soli potasowej i starannej uprawie, ba, nawet po saletrzaku rozsianym przy trzecim piórku — w skórę każdy bierze przy zbiorach. Dość tego — decydują chłopi — może ten jęczmień dobry jest w Danii, ale nie u nas, w pomorskim klimacie. Ponieśliśmy straty i poniosło je państwo. Tak dalej być nie może!

A znowu w Gdańskiem rzecz idzie o nawozy. Nie żeby ich było brak, ale PZGS śle w teren niewłaściwe. Chłopi proszą o nawozy fosforowe, PZGS pcha superfosfat. Spór nabrał już cech dyskusji nieomalże naukowej. Po stronie chłopów stoi nie tylko praktyka, ale i wiedza. Nie wierzycie? To posłuchajcie, co mówią.

Po pierwsze, praktyka wykazała, że superfosfat nie przynosi na naszym terenie żadnej korzyści. Natomiast stosowanie supertomasyny, względnie tomasyny daje świetne rezultaty. A PZGS prowadzi uporczywie politykę akurat odwrotną, zasypuje nas superfosfatem.

Po drugie. Jak wiadomo, sól potasowa i nawozy azotowe (superfosfat) sprzyjają rozwojowi słomy w roślinie. Na rozwój ziarna wpływają natomiast nawozy fosforowe.

Z tego wynika, że PZGS w Gdańsku życzy sobie, aby rolnicy w gm. Swibno produkowali samą słomę bez ziarna, bo taki tylko dać może wynik stosowanie nawozów według recepty PZGS u w Gdańsku. A my chcemy podnosić produkcję zbóż, chcemy dawać coraz więcej krajowi ziarna. I wiemy jak je powiększyć.

Edward Bobrowski

Miód i gazeta

Chcę Wam napisać po trochu o miodzie i o gazecie. A to z tego powodu, że wsród chłopów mały jest procent pszczelarzy, ale czytelników gazet miliony.

Więc kiedy mnie pszczelarzowi wydarzył się przykry wypadek to — zapewniam was — że jako czytelnikowi gazet — jeszcze gorszy.

A było to tak. Waię do GS-u, aby mi sprzedano cukier za sprzedany przeze mnie miód na punkcie skupu Centrali Ogrodniczej w Siemiatyczach.

Ale kierownik GS-u zaśmiał się i powiada. — Jeśliby miód zakontraktowany był w naszej spółdzielni, otrzymałby pan cukier u nas, a skoro pan zakontraktował w Centrali Ogrodniczej, niech pan tam jedzie po cukier.

Wtedy ja mu pod nos 117 nr „Rolnika Polskiego", gdzie podano rozporządzenie rządu, że mając zaświadczenie sprzedaży miodu pszczelarz ma prawo otrzymać cukier (1 kg c. za 1 kg m.) w najbliższej mu spółdzielni gminnej.

Pan kierownik, jak się okazało, dopiero teraz czytał to zarządzenie po raz pierwszy. Ale mimo to nie zmiękł. — Nie jesteśmy przygotowani...

Udałem się do Gminnej Rady. Przewodniczący, prawdziwy gospodarz terenu — łap za słuchawkę i dzwoni do Wydziału Rolnego w PRN w Bielsku Podlaskim. A z Bielska mu odpowiadają, że tam oni o takim zarządzeniu nic jeszcze nie wiedzą.

Więc jak to niby, my chłopi czytamy gazety a panowie w GS-ach, w PRN-ach nie? Myślę, że czas już, aby na wyższych szczeblach wiedziano tyle chociaż, co wie dziś chłop na wsi.

Włodzimierz Karewicz

„Grymaśna"

„Zdawałam do Liceum Handlowego. Nie przyjęli mnie jednak, bo ojciec mój jest bezpartyjny i bogaty a przecież ma tylko 4,8 ha" (woj. łódzkie).

Koleżanki doradzały Liceum Pedagogiczne, matka popchnęła ją do Liceum Handlowego. Tu nie została przyjęta (po egzaminie), ulokowała się ostatecznie w Technicum Przemysłu Drzewnego. Upłynęło pierwsze półrocze, dziewczyna znów kaprysi. Dobra to szkoła dla chłopców, ale nie dla dziewcząt. Takie jej zdanie. Chce zmienić szkołę ale na jaką — sama dobrze nie wie. Oto klimat listu tej córki małego średniaka. Zły klimat. Wszystko ją nęci, a do niczego nie ma pasji i zamiłowania. Do organizacji młodzieżowej nie należała, żyje atmosferą domu. Wola matki, gdyby się spełniła, zdjęłaby z niej ciężar odpowiedzialności. Jej los zostałby przesądzony autorytatywnie. A że stało się inaczej, dziewczyna jak cień wydłubuje ze wspomnień ów egzamin do Liceum Handlowego. Rozumiemy — ze wszystkich liceów to jedno wskazane przez matkę, zapewnić mogło święty spokój takiemu cielątku.

Natomiast czego innego nie można zrozumieć. Skoro dziewczyna jest w liceum i może nawet przenieść się do innego, zatem w większej perspektywie nie ma tu zawiedzenia, nowy ustrój sprzyja jej. Dlaczego więc egzamin do Liceum Handlowego opisuje w ten sposób: „nie przyjęli mnie jednak, bo ojciec mój jest bezpartyjny i bogaty a przecież ma tylko 4,8 ha".

Maria Kulina

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

IRENA MAZURKIEWICZ

Kontraktacja

Przyjechał do Niezguł Dużych
Referent od kontraktacji
Narobił szumu, hałasu.
Popił z tym, z tamtym i — z nagła
Spostrzegł, że nie ma już czasu:
Muszę natychmiast do Cielisk!
Rzecze tata... wiecie ten tego...
Wytrząsnął kupę papierów:
„Zróbcie to za mnie, kolego!"

Przodownik grupy hodowców,
Walenty Trzon, aktywista,
Zatrzasnął listy w szufladzie:
„Zrobi się! — rzecz oczywista"

Przyszły cmoły,
Więc — huk roboty.
Wykopki i siewy,
orki zimowe.
Miesiąc,
Drugiego zeszło połowę.
A listy?
Ciągle u aktywisty.
Stanęli wszyscy
Do akcji skupu.
Trzon, oczywiście,
Ze swoją grupą.
Poszła robota
Składnie w gromadzie,
Lecz listy? —
Nadal leżą w szufladzie.

A cwaniak i kombinator
W Dużych Niezgułach wciąż hulał.
Rad śmiał się kułak, że mięso
W worach wywozi spekulant.
Czy winien jest aktywista?
Obydwaj! — Chociaż z powodów
Różnych, rzecz oczywista.
Referent Kluska, popijbrat,
Żarłok, a kanciarz, jak rzadko!
Ze swoich się obowiązków
Wymigał chytrze i gładko:

Fakt zaniedbania — przez kwartał
Dał to konkretnie w wyniku:
Że dwieście poszło tuczników
Pod nóż pokątnych rzeźników.

PIOTR PIGWA

W kręgu terenowych korespondencji

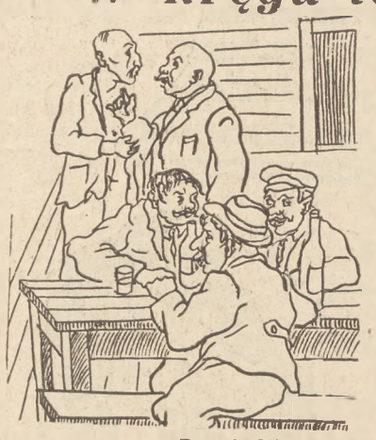

Rys. A. Mierzejewski

OTRZYMALIŚMY właśnie garść korespondencji z różnych gromad, dotyczących pracy „złych" sołtysów. Przy czytaniu uderza z miejsca fakt, że nasi korespondenci charakteryzują „urzędowanie" sołtysów nie zawsze w ścisłej zależności od ich klasowego stanowiska, nie zawsze umieją odkryć i zdemaskować te siły społeczne, którym właśnie zależy na podtrzymaniu w gromadzie „złego" sołtysa. Obraz poszczególnych „małych premierów" nie jest zawsze pełny. A to znaczy, że praca korespondentów została w części zmarnowana.

Oto Kazimierz Czajkowski z gromady Zagorzany, gm. Zaborów, powiatu kaliskiego (poznańskie). Dowiadujemy się z korespondencji, że na przestrzeni swego podejrzanie długiego „urzędowania" (od roku 1945) dokonał następujących czynów: nakazał gromadzie rozebrać poniemieckie bunkry, z cegły miano zbudować most. Tymczasem „postawił sobie stodołę a mostu jak nie było, ta nie ma, który jest koniecznie potrzebny". Następnie odebrał milicyjnie poniemieckie maszyny, obiecał przekazać je ośrodkowi maszynowemu, ale jak dotąd sam ich używa. Wodopój, ocieniony drzewami, uznany został za własność gromadzką, „a sołtys ścina sobie drzewo i kwita". A dalej? „Sołtys chodził z komisją porządkową i kto miał lichy komin nakazał naprawić, a jak nie to rozwalić, a gdy przyszła cegła na te kominy, to ją sołtys zabrał dla siebie".

Aż dziw człowieka bierze że taki włodarz gromadzki może się do tej pory na stanowisku utrzymać. Jeżeli tak jest istotnie — to nasz korespondent nie potrafił ujawnić przyczyn, które powodują długotrwały żywot sołtysowski Czajkowskiego. Pisze: „nie chcemy dłużej tego egoisty, a poradź nam gazeto, bo w GRN nic nie załatwisz". Tu właśnie leży pies pogrzebany! Czajkowski ma popleczników i bez ich zdemaskowania i usunięcia można tylko tyle osiągnąć, że miejsce pierwszego zajmie drugi sołtys „egoista".

W pracy korespondenta ważne jest oczywiście zgromadzenie faktów nadużyć popełnianych przez sołtysa. Ważne, lecz niewystarczające. Przy pomocy faktów, jak po nitce do kłębka, trzeba dojść do odkrycia całego układu klasowego, odpowiedzieć na pytanie — a kto popiera Czajkowskiego?

Donosi nam korespondent z Żelechowa (pow. Garwolin), że największym nieszczęściem gromady Władysławów jest sołtys, Miszkurka Władysław i „jego klika wyzyskująca i okradająca chłopów". To już znacznie lepiej i więcej niż w wypadku korespondencji z Zagorzan. Czytamy, że sprytny Miszkurka postawił pieczątkę urzędową na fikcyjnym podziale ziemi, wskutek czego Stanisław Witek, bogacz na 30 ha płaci podatki jedynie z 5-ciu ha. A jest takich opieczętowanych przez sołtysa „przeszło więcej" w gromadzie — stwierdza korespondent — Gomół, Miszczak, Pyra, dwaj Kołodziejczyki, Barkowa, Kolata, Kajda, Kosyra, Jaworska — na wołowej skórze byś nie spisał. Odsłania się więc cały zespół, zgrana kompania kułacka, zainteresowana oczywiście w utrzymaniu Miszkurki przy władzy sołtysa. Kompania szuka i znajduje pozornie legalne środki udzielania mu poparcia. Organizuje mianowicie „grupę transportową" przewożącą z „dobra woli" towary z powiatowej składnicy PZGS do miejscowego sklepu GS. A tam wodzi rej ob. sołtys. Miszkurka może liczyć na kilkadziesiąt kresek przy wyborach, a wyborcy na „cichy" przydział, co lepszych towarów.

Z korespondencji widać wyraźnie i prawidłowo, że szkodnik społeczny, wróg — nie może działać samotnie, lecz opiera się na kumotrach - kułakach. Ich to właśnie odkrył nasz korespondent. Ale od podstawowego błędu nie zdołał się ustrzec. Pisze do redakcji: „proszę się zająć tymi wyrzutkami społeczeństwa, domagać się dla nich dyscyplinarnego ukarania za ich przestępstwa wobec Polski Ludowej, proszę o wypisanie kułaków w gazecie, bo innego lekarstwa na nich nie widzę".

Tymczasem takie lekarstwo jest i to na miejscu. Korespondent zadał sobie niewątpliwie dużo rzetelnego trudu, aby pokazać cały zamaskowany aparat oszustw kułackich, ale napisał o nich niejako prywatnie, osobiście, jakby to tylko jego te kułackie machinacje dotykały. Sprawa zupełnie niebagatelna! Iluż to korespondentom brakuje po prostu odwagi, aby napisaną korespondencję przedyskutować publicznie na zebraniu gromadzkim, powołać do życia chłopską opinię społeczną — biedoty i małorolnych, w oparciu o nich i w ich imieniu następnie skierować sprawę do GRN, a jak zajdzie potrzeba to i do powiatu. Takie właśnie „odnalezienie" sojuszników na miejscu, czyni korespondenta prawdziwym reprezentantem pracującego chłopstwa. Ale użyjmy przykładu.

Pisze do nas z gromady Swierk, gm. Wiązowna, pow. Otwock — kobieta korespondent. W jakim celu? „Ażeby podnieść zacofane życie w naszej wiosce, z czego się cieszą kumotry sanacyjne, którzy wdzierają się na stanowiska sołtysa, prezesa ZSCh gromadzkiego, ażeby gnębić małorolnych chłopów". Wyróżnia się pod tym względem sołtys ob. Edward Lech. Ten nie tylko kradnie cegły i cement, ale przede wszystkim krzywdzi biedotę przy takich okazjach jak klasyfikacja gruntów, wskutek czego w planowym skupie zboża normy dla bogaczy zostały zniżone, wygórowane natomiast w stosunku do małorolnych.

Jak postępuje korespondent — Stanisława Ścieplik? Gromadzi starannie fakty nadużyć, tłumaczy ich klasowy sens, a na dowód prawdomówności uwierzytelnia swój list do redakcji trzema podpisami. Ale nie w tym rzecz. Małorolna chłopka nie chce przedstawić redakcji prośby o ujęcie się za pokrzywdzonymi, lecz pragnie opisać w jaki sposób rozstrzygnięto sprawę w oparciu o miejscowy aparat władzy terenowej i czynniki polityczne. Jej list ma zatem wagę pouczającego przykładu.

Energiczny korespondent w spółdzielni natychmiast postawił na nogi opinię pokrzywdzonych chłopów. I oto możemy czytać odpis załączonego do listu pisma zbiorowego chłopów z gromady Swierk do GRN. Kilkudziesięciu mało i średniorolnych stwierdza, że sołtys wraz z kompanią, występującą pod nazwą komisji klasyfikacyjnej, sklasyfikował ziemię biedoty w 3 i 4-ej klasie, tymczasem lepsze ziemie posiadają prawie wyłącznie bogacze. „Kategorycznie twierdzimy — piszą chłopi — że pola mamy w szachownicy i nie może być tak, że przez małą bruzdę ziemia staje się od razu u nas lepsza a u bogatych gorsza". Czytamy, że sołtys przerzuca ciężar świadczeń na biedotę, a najbliższych kumotrów w ogóle od obowiązku sprzedaży zboża uwolnił.

Moralna jedność pracującej części gromady, zbiorowy protest zorganizowany przez korespondenta okazał się dość silny, aby złamać potęgę kliki sołtysa Lecha. A to znaczy, że tę społeczno - moralną jedność, tę siłę polityczną rosnącą w gromadach należy wyzwalać i organizować. Nie ma chyba większego uznania dla pracy korespondenta terenowego, nad poparcie go przez pracujące chłopstwo. Co więcej — poparcie to gwarantuje skuteczność jego pracy.

Piotr Pigwa

WŁADYSŁAW MACHEJEK

Spółdzielnia w Waganowicach

MÓWIŁA prosto, nieuczenie, bez gestów i ornamentów, a jakby śpiewała na cześć piękności nowego życia. Niepojętym pięknem jest dobrobyt dla człowieka, który z nędzą był przez całe dotychczasowe życie za pan brat, więc w zmrużeniu oczu Zębaliny można czytać zdziwienie — że słońce, które wstało i wznosi się, daje wreszcie ciepło ludziom pracy na wsi.

Zwrócona twarzą do zebranych — przesunęła dłonią po czarnych, gładko uczesanych włosach. Stała w jasnym, niedawno kupionym płaszczu. Utknęła i jakby szukała odpowiedniego określenia dla czasu, który bezpowrotnie minął. — Ledwośmy wyrośli w skórze i kości... Żyliśmy w ciągłej poniewierce. Dopiero teraz, w spółdzielni produkcyjnej, gdyśmy z mężem zarobili prawie czterysta dniówek — możemy żyć.

Zębalina patrzy uczciwie, jasno w oczy kobietom jeszcze niezrzeszonym, które gromadnie przyszły na zebranie spółdzielcze, by dowiedzieć się prawdy o nowym życiu, które jest przede wszystkim nowe dla kobiet.

— Mało — mówi — przez pół mniej pracowałam, jak dawniej, a więcej zarobiłam. Nie wiem, jaki wróg chciałby nam to odebrać, ale żadnemu już się nie damy.

Właściwie wystarczyłoby słowo po słowie zanalizować tylko ten głos w dyskusji na zebraniu sprawozdawczym Rolniczego Zespołu Spółdzielczego (tzn. spółdzielni produkcyjnej III typu w Waganowicach w dniu 20 stycznia), aby otrzymać obraz przemian na uspółdzielczonej wsi i na jego tle zobaczyć rewolucję w życiu jednostki. Przemiany służą człowiekowi, dobrobyt w wymiarze rodziny daje świadectwo potrzebie tych przemian i argumentuje za ich pogłębieniem i rozszerzeniem na całe pracujące chłopstwo.

Stanisława Zębalina wyrobiła wspólnie z mężem 384 pracodniówki. Cyfrę tę, jak wiadomo, mnoży się przez wartość jednej dniówki i otrzymuje się całoroczny dochód. Ze sprawozdania przewodniczącego spółdzielni w Waganowicach, tow Sadowskiego, dowiedzieli się chłopi, że wartość dniówki obrachunkowej wyniosła 30.31 zł.

Teraz słyszy się po wsiach gadanie wroga, że „państwo zabierze wszystko zboże, wszystko mięso ze spółdzielni, a ty będziesz kupował chleb w sklepie, albo będziesz chodził z garnuszkiem do wspólnego kotła". Praktyka zdążyła już jednak zaprzeczyć tym bredniom. Indywidualnie dotąd gospodarujący Waganowiczanie usłyszeli, że tak jak w kołchozach radzieckich — spółdzielnia produkcyjna, zebrawszy plony, reguluje tylko wobec państwa zobowiązania w naturze — w ustalonej przez władze wysokości z hektara, zupełnie tak samo, jak indywidualni chłopi — i po tych samych handlowych cenach — a olbrzymia reszta zostaje do podziału między członków i na zasiew.

Dlatego spółdzielca waganowicki w ramach jednej dniówki obrachunkowej otrzymuje:

pszenicy — 8,22 kg,
żyta — 3,5 kg,
ziemniaków — 6,2 kg.

Ponadto jęczmień, cukier i inne produkty żywnościowe oraz dla potrzeb gospodarstwa przyzagrodowego — słomę i siano w określonej ilości, poza tym w pieniądzach — 4,20 zł. To razem czyni — przeliczając produkty na ceny oficjalne — zł. 30.31 za dniówkę.

Dlatego rodzina Zębalów otrzymała za 384 dniówki: ponad trzydzieści kwintali pszenicy, trzynaście kwintali żyta, itd., wreszcie 1612 złotych 82 grosze w gotówce.

Za nimi zaraz idą — Stanisław Sadowski z 351 dniówkami, Całkowie z 268 dniówkami, Buccy z 262 dniówkami, Skrzydlewscy, Jelenie, Dukatowie... itd.

Co decyduje o dobrobycie? — Praca i jej owoce — produkcja. Akurat w III typie, jaki obrały Waganowice dla swego spółdzielczego gospodarowania, jedynym miernikiem dochodu każdego członka jest tylko praca. Miernikiem i prawem do dobrobytu. Jak wiadomo — w III typie nie istnieje już żadna renta gruntowa. Praca owocuje pracodniówkami. Tow. poseł Taborowicz, wiceprzewodniczący Woj. Rady Narodowej, zapytał w swym przemówieniu:

— Czy jest możliwe, by nie tylko dziesięciu członków spółdzielni wyrobiło od 200 do 384 dniówek, ale aby wszyscy (a w spółdzielni jest ok. 20 członków) szczycili się takimi osiągnięciami?

Przedtem już padły dwa znamienne zdania, przeżyte, przemyślane. Władysława Piotrowska powiedziała tonem, jakby i siebie ganiła. — Dlaczegośmy się długo błąkali? — Bo byliśmy nieuświadomieni...

Uświadomiła ich wspólna praca. Do wspólnego warsztatu dopływało coraz więcej rąk. Ze sprawozdania przewodniczącego wynikało, że jesienią 1950 r. po zaoraniu miedz, przy siewach wzięło udział tylko pięciu członków. Wróg szeptał: no, zasiać, to oni zasieją, ale przy żniwach sobie nie poradzą... A tymczasem upór pierwszego szeregu bojowników idei spółdzielczej pociągnął następne. Przy żniwach spółdzielcza rodzina już rozporządzała czterdziestoma rękami. Jeszcze lepiej charakteryzuje rozwój spółdzielni — fakt przystąpienia do niej 3 nowych członków. A że się sami „starzy" członkowie przez pewien czas „błąkali", używając stylu Piotrowskiej, dlatego wyniki gospodarki nie są jeszcze takie, jakie być mogły. Towarzysz Sadowski powiedział z uzasadnionym optymizmem:— produkcja w spółdzielni nie ma granic. — Zahaczył o wydajność z hektara i porównywał ją do niższej o 3 — 5 q wydajności na zagonach indywidualnych. Prawdą jest, że ziemia, zasilana sposobami znanymi agrotechnice, potrzebuje powolnego dojrzewania, by rodzić z roku na rok więcej... Ale gdyby nie było marnotrawstwa — o czym ogólnie wspominało sprawozdanie — już dziś dniówka wypadłaby wyższa i więcej byłoby tych dniówek. Praca czekała na ręce, a rąk brakowało. Czy wszyscy więc członkowie mogli zarobić po 200, 300 i więcej dniówek? — Mogli.

— Przyjeżdżałem tu — mówił tow. Tabarowicz — jesienią — serce się ściskało... jabłka na drzewach niszczały. Pytam: dlaczego ich nie zbieracie? Pilniejszy chleb — odpowiadano. — Siewy, zbiory ziemniaków... Słusznie. Ale, gdyby jeszcze przybyło kilka par rąk, które się za długo wahały, to spółdzielnia uzyskałaby za owoce nie 20.000 zł, ale 70.000 zł.

Na sali pochyliły się głowy. Och, boli chłopa marnotrawstwo. Żgają w serce słowa krytyki Piotrowskiej: „Byliśmy nieuświadomieni". Ale z tego też wychodzi, że spółdzielnia jest naszą matką, która nikogo nie skrzywdzi. Co zarobisz — twoje.

Podobały mi się te akcenty samokrytyczne, chociaż 30 złotowa dniówka mówi przecież o olbrzymim wysiłku spółdzielni i jej osiągnięciach.

Władysław Macheiek

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12 tel 7 52-50 Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż: P P K „Ruch". Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel 804-20 do 25
Tel Red Nacz 727-86 Tel Redakcji 751 80 dod wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł; kwartalnie 9,—; półrocznie 18,— zł; rocznie 36,— zł
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6812,110 z zaznaczeniem „za tyg „Wieś".
RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-11090